



ROK 1924.

WARSZAWA, 8 LISTOPADA

TREŚĆ NUMERU:

O niejasności pojęć moralnych—H. Zawód—K. S. Reforma gospodarstwa kobiecego—F. S. Z kongresu wszechświatowego dla zwalczania handlu dziewczętami i dziećmi (dokończ.)—X. Jarzębinowa ziemia (c. d.)—*Marja Dąbrowska*. Kania—*Zofja Nałkowska*. Wypadek samochodowy (nowela)—*Paul Bourgat*; tłum. *M. D.* Drogami duszy (powieść) c. d.—*Helena Ceyssingerówna*. Amerykańskie listy Kościuszki—*M. Dąbrowska*. Zaślubiny Marji Gonzagi, księżniczki Mantuańskiej z królem polskim Władysławem IV Wazą. Roku pańskiego 1645. (dokończ.)—przełożyła *Leonia Knollówna*. *Marja Wołkońska* i *Teresa Confalonieri* (c. d.)—*K. Bielańska*. Cel i zadania pedagogii (dok.)—*Emilja Tecka*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet—*I. Fabrycowa*. Na marginesie książki *Marjana Dąbrowskiego*: „Różaniec życia i śmierci”—*N. Samotyłowa*. Liga obrony moralności—*N. Cz. Przewońska*. Z Zachęty—*N. M. Sam.* Zjazd nauczycielski w Wołynie—*Jan Szymański*. List z Paryża—*Sekwa*. Choinka—*W.* Wskazówki praktyczne—*Pani Elżbieta*. Dodatek powieściowy: „Czar Kwieciowy” (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

O NIEJASNOŚCI POJĘĆ MORALNYCH

Terminem tym, znanym psychjatrii, określiłby należało cały szereg zjawisk, spotykanych w społeczeństwie naszym na każdym niemal kroku.

Niejasność pojęć moralnych, mówiąc po prostu, polega na tem, że człowiek nie zdaje sobie dokładnie sprawy z tego, co złe, co dobre, co uczciwe, a co nieuczciwe, co zgodne z etyką, a co liche, podłe, nikczemne i skutkiem tego w każdej chwili gotów jest względne wątpliwości przesunąć ku szali swego osobistego interesu.

W niejasności tej pływają dziś po prostu sumienia, jak w jakimś eterze nieważkim, którego obecności się nie wyczuwa, a który powoduje cały szereg zjawisk. Na stan ten rzeczy złożyło się wiele; stulecie niewoli, szerzącej demoralizację głęboką i w wielu wypadkach nieuleczalną; sto-

sunek nasz do władzy państwowej zaborców i potem — wojna, rozluźniająca ustalone pojęcia moralne; przewroty rewolucyjne, prawo własności i poszanowanie cudzej własności podkopujące zasadniczo. Oto czynniki najważniejsze, rzucające się wprost w oczy i usprawiedliwiające do pewnego stopnia, zwłaszcza te elementy, którym niski poziom intelektualny rozróżniać nie pozwala między doktryną, a praktyką życia, między stosunkiem obywatela do własnego państwa, a jego stosunkiem do władz obcych, na zasadniczym bezprawiu opierających się swoich rozporządzeń.

Ale poza tem są przyczyny inne — ogólniejszego znaczenia, na które pragniemy zwrócić uwagę; uchodzą one bowiem zazwyczaj obserwacji jako rzeczy, do których już się przyzwyczajono.

Przedtem jednak pozwólcie powiedzieć nieco o tych smutnych zjawiskach. Nie potrzebujemy szukać ich daleko. Natykamy się na nie na każdym kroku. Niewiadomo doprawdy, od czego zacząć: czy od tajnych wyszynków wódki, znajdujących się w każdej wiośszynie, czy od przekupstw wysokich urzędników, ludzi nauki, uprawiających n. p. za pieniądze zwalnianie żydów od woj-ska, lub przywłaszczających sobie złożone w czasie wojny depozyty, czy od drobnych łapówek i drobnych nadużyć, uprawianych dokoła, czy od paskarstwa, czy od ukrywania dochodów przed urzędnikami państwowymi, które uprawiać pragnie co najmniej 90% obowiązanych do składania podatków?...

Czy we wszystkich tych wypadkach zachodzi jednak niejasność po-

jęć moralnych, czy też są to po prostu czyny złe, z całą świadomością dokonywane?

W większości wypadków, twierdząc z głębokim przekonaniem, ma miejsce właśnie owa „niejasność“.

Oto znamieny przykład:

Bogata panna, córka jednego z największych potentatów finansowych z radosnym śmiechem opowiada w towarzystwie, że udało jej się uzyskać paszport ulgowy na podróż poślubną za granicę, a to na mocy fałszywego zeznania o chorobie.

Gdyby osoba ta zdawała sobie jasno sprawę z ohydy moralnej swego czynu, nie chlubiłaby się nim w towarzystwie.

Osoba ta niewątpliwie byłaby szczerze oburzoną, gdyby ją nazwano oszustką i złodziejką. Może byłaby nawet zasmucona naprawdę, gdyby ją zdołano przekonać, że istotnie czyn jej był oszustwem i kradzieżą publicznego grosza, gdyby jej zwróceno uwagę, że ona, nie potrzebująca ulg, odjęła możność wyjazdu za granicę prawdziwie choremu i prawdziwie nie mogącemu złożyć nakazanych opłat paszportowych. Niejasność! niemal chorobliwa niejasność pojęć moralnych,

W Polsce ludzi szczerze złych, ludzi świadomie popełniających występki — jest mało. Dlatego zadanie sądów bywa często takie niesłychanie trudne, a wyroki ich dla szerszej publiczności są w wielu wypadkach zgoła niezrozumiałe. Ale co począć ma sąd, gdy staje przed nim taka galareta moralna, nieskrystalizowana mieszanina złego i dobrego, taka wiązanka słabostek wszelkiego rodzaju i niemocnych porywów dobrego, na kręgosłupie charakteru nie oparta, żadnym klejem woli nie spojona... taki przeciętny i „dobry człowiek“?

O jednym ze smutnych bohaterów jednego ze współczesnych skandalów opowiadają znajomi, że był wzorem w pełnieniu obowiązków zawodowych, był niezmiernie „dobrym“ dla chorych, oddanych jego pieczy, a że brał łapówki od żydów, pragnących się wykręcić od służby wojskowej „...no cóż, czyż z tych żydów armja polska miałaby prawdziwy pożytek?!...“

Typowe rozumowanie w podobnych wypadkach!

Nie stawia się kwestji jasno: czy powinien był, czy nie powinien uprawiać przekupstwa?

Nie dociera się do istoty czynu! ale względną (naturalnie bardzo względną) nieszkodliwością następstw usprawiedliwia się występki.

Podobne usprawiedliwienia znajduje się dla każdego nieetycznego czynu:

„Polska od tego nie zginie“ — mówi sobie kupiec, zestawiający fałszywie bilans swój na użytek władz skarbowych. Że on przez to ginie jako uczciwy człowiek — tego sobie nie mówi.

Podobnie rozumują ci, co wbrew zakazom wysyłają zboże, bydło, nabiał za granicę, oglądając współobywateli i ci, co sprowadzają bez cła towary luksusowe i cały legion innych, uprawiających przeważnie tajne procedery. Dla dawnych działaczy konspiracyjnych tajna ta działalność współczesna, mająca także swoje kanony i organizacje, wygląda jak straszliwa parodia, jak bolesna karykatura ich dawnych czynów. Oni zakładali tajne szkoły, a ci uważają się za męczenników publicznych, gdy ich policja polska przychwyci (zresztą bardzo rzadko) na tajnym wyszynku wódki, tamci sprowadzali z zagranicy, książki i gazety mówiące o Polsce i wolności — ci sprowadzają kokainę i opium, koronki, pióra... i t. d. i t. d.

Ale jest w tem jednak jakieś dalekie podobieństwo, jakiś wspólny nerw — nerw nieposzanowania obowiązującego prawa, zręczność w omijaniu rozporządzeń rządowych — jedno tam i pobudki i cel były inne i inna była moralność źródła, z którego moc swą czerpały ukazy i rozkazy zaborców.

To wszystko zaciera się w niejasnościach sumienia, w mgłach myśli, w błyszczących oparach tak pożądanego złota.

Niejasność ta jaskrawiej jeszcze występuje w niezliczonej po prostu klienteli tych opryszków.

Nikt nie zawaha się kupić tańszego towaru, sprowadzonego bez cła, nikt nie uważa się za winnego, jeżeli dał łapówkę, nikt, a przynajmniej prawie nikt, nie odmówi nabywania rzeczy kradzionej. To nie są występki. I tu szczególnie jaskrawo występują rezultaty rosyjskiej szkoły łapownictwa.

Nie mówię już o zakazach alkoholowych. Wystarczy w pewne dni wejść do niektórych sklepów kolonialnych w Warszawie i przypatrzeć się tym poważnym fizjonomjom

„wielkich wtajemniczonych“ dla których alkohol jest zawsze i o każdej porze, tym wymownym spojrzeniem, tym znakiem porozumienia się między kupcami, a klientami, by zrozumieć, że oni uważają siebie za ofiary i wprost za „szlachetnych rewolucjonistów“, walczących przeciw „antyalkoholowej tyranji“.

To są wszystko niesłychanie ciekawe obserwacje, ujawniające trydy biednej, współczesnej duszy polskiej.

Niewątpliwie przekupstwo moskiewskie, austriacka demoralizacja polityczna, wojna, rewolucja sąsiedniej Rosji zakaziły organizm nasz społeczny jadami niejasności moralnej. Ale działają na psychikę polską i czynniki inne, działają stale niewidocznie, a tem szkodliwiej i niebezpieczniej.

Na pierwszym miejscu postawić należy wzrastający stale alkoholizm.

Nic tak nie usposabia do utraty równowagi moralnej, jak ów stan zamroczenia świadomości, spowodowany każdą, nawet małą dawką alkoholu, ów stan, w którym człowiek rozczuła się nad sobą, a myśl błędna wyszukuje usprawiedliwień dla każdego występkę. Refleksy tego stanu pozostają w psychice nawet po wytrzeźwieniu i tworzą powoli podłoże, na którym degeneruje się każdy, pierwotnie nawet bardzo czysty instynkt moralny. Dlatego wśród alkoholików najwięcej spotyka się kłamców, defraudantów, i t. d. i t. d. I dlatego też każdy urząd państwowy i każda, dbająca o swe interesy instytucja bezwzględnie wymagać powinna od swych pracowników jeśli nie zupełnej abstynencji od alkoholu, to jaknajbardziej umiarkowanego używania tej trucizny. Alkoholików powinno się bezwzględnie usuwać od pracy, a w żadnym razie nie powierzać im stanowisk odpowiedzialnych.

Drugim, od wieków działającym, czynnikiem demoralizacji powszechnej, jest tak zwana „podwójna moralność“ w sprawach erotycznych.

Wystarczy raz nasunąć młodzieńcowi myśl, że to, co hańbi kobietę, jego honoru i sumienia nie obraża, bo zło i występki są dlań „koniecznością fizjologiczną“, by zmącić do dna jansość jego moralnego sadu.

A w tych pojęciach wychowuje się przecież młodzież męską od tysięcy lat.

Niemal to gmatwaniny pojęć moralnych przyczynia w ostatniej chwili dziennikarstwo, zwłaszcza na

szerokie masy obliczone gazetki brukowe, z pojęć moralnych robiące niewymowny chaos, dziwaczne treści obrazy kinematograficzne, szkodliwe nietyle swym jaskrawym erotyzmem, o czym się tak wiele mówi,

jak kompletną negacją pojęcia, co uczciwe, a co nieuczciwe.

Zaprawdę odpowiednia jest dziś pora do tworzenia „związków uczciwych ludzi”, któreby słowem mówionem i drukowaniem, a przede wszystkim

przykładem własnym rozpraszały mgły, które otulone zasypiają sumienia.

Arystidesowy ideał bezwzględnej uczciwości należy odradzającej się Polsce postawić znów przed oczy.

H.

Z A W Ó D

II

Pojęcia: powołanie i zawód dzieli u nas nieprzeżyta przepaść. Zwroty takie jak: „trzeba wyrzec się powołania, a zająć się pracą zawodową” albo „oddawać się pracy bez powołania, czy to zawodowej” — mówią same za siebie.

Obracamy się więc między dwoma ekstremami: albo wzniosłe, idealne, pełne radosnego zapału, oddania powołania, albo twardy przymus zawodu. Znalazło to dobitny wyraz w charakterystycznych powiedzeniach: „poświęcić się temu, lub owemu zawodowi”, a „oddać się powołaniu”. Objawy te mają niezawodnie głębokie uzasadnienie w pierwiastkach psychologicznych, narodowych, historycznych. Wszak i dawny szlachcic polski uznawał dla siebie tylko dwie możliwości: czuł się powołany do rządzenia i do obrony kraju, każdą inną zaś pracę gardził, uważając ją za niegodny przymus. Ale o wiele większą rolę grają tu czynniki wychowawcze i społeczne. Atmosfera życia codziennego, wytwarzane przez otoczenie wzory dążeń i ideałów wywierają wpływ decydujący.

Utarło się u nas przekonanie, że powołanie odczuwać można tylko do takich rzeczy, jak: literatura, sztuka, stan duchowny — ostatecznie polityka. Wszystkie inne dziedziny pracy uważane są za przymus życiowy, dyktowany koniecznością zarobkowania, za zawód — w najlepszym razie za karierę. I dlatego też tylu u nas ludzi niezadowolonych. Dlatego także — bądźmy zupełnie szczerzy — tak mało sprawnie u nas się pracuje i tak mało wydajną jest nasza praca.

Wśród wielu „zawodów” w zawodach, bodaj że największe znaczenie ma zawód nauczycielski. Nietylko dlatego, że tu mamy chyba najwięcej zawiedzionych, ale głównie i z tego powodu, że skutki tych zawodów najdotkliwiej odbijają się na życiu społecznym. Dotychczas bowiem zawód nauczycielski uważany był za dziedzinę pracy nietylko mniej popłatnej, ale wogóle niższego gatunku. Poświęcali się jej przeważnie ci, którym brakło odpowiednich warunków do obrania innego kierunku. Zamiłowanie do pracy nauczycielskiej uważano za rodzaj egzaltacji, z którą trzeba było nawet się ukrywać, aby nie narazić się na śmieszność! Łatwo się domyślić, jak to musiało wpływać na stosunek do szkoły i do uczniów, a co za tem idzie — nawyniki pracy. Czy

trzeba się wobec tego dziwić tej niesłychanej, a smutnej anomalii, że zamiast przywiązania, szacunku i wdzięczności, uczniowie odczuwali dla nauczycieli przeważnie niechęć, pogardę, a nierzadko i nienawiść!

Teraz podobno stosunki pod tym względem się zmieniają. Byłby to objaw w Polsce niepodległej wysoce znamienny i błogosławiony w skutki dla przyszłości narodu.

W ostatnich czasach pismo nasze niejednokrotnie poruszało sprawę zawodów specjalnie kobiecych. I zupełnie słusznie. Zawody kobiece bowiem stanowią specyficzny „zawód” wśród zawodów.

Kiedy pierwsze kobiety wyruszały w „świat nowy”, w świat pracy publicznej, niosły w sercach swych rozmaite ideały. Były wśród nich i entuzjastki nauki, reformatorki wychowania i życia społecznego, bojowniczkami równych praw i obowiązków. Atoli idea przewodziła tych wszystkich dążeń, tą wspólną nicią, która je łączyła było wysokie poczucie pewnej misji, którą pragnęły spełnić. Chodziło im o to, jak się wtedy wyrażały, aby uzdrowić i wlać nowego ducha w życie i pracę publiczną.

Pamiętam te nieskończone rozmowy, prowadzone na ten temat. Pamiętam ten poważny zapał i pewność siebie, gdy rozprawiano o tem, co to kobieta wnieść musi w atmosferę życia rodzinnego i towarzyskiego, w szkolnictwo, w wychowanie publiczne, a przede wszystkim w stosunek do pracy wogóle. Mówiono dużo o tem, że kobieta właśnie jest powołana do tego, aby na miejsce szablonu, zmechanizowania, bierności w pracy, wnieść nowe tchnienie powołania, zapału, świadomej energii.

Czy spełniły się te nadzieje? Z przykrością wyznać trzeba, że jak dotąd — to nie bardzo. Kobieta nie osiągnęła tego, o czym marzyła, ani z drugiej strony nie dała z siebie tych wartości, których się po niej spodziewano. Trzeba przyznać, że anormalne stosunki wojenne i powojenne skierowały t. zw. ruch kobiecy na całkiem inne tory.

Walczące państwa musiały powołać kobietę do rozmaitych dziedzin pracy publicznej. Z drugiej strony coraz większe trudności życia ekonomicznego zmusiły ją do szukania pracy zarobkowej jakiegokolwiek — za wszelką cenę. Szerokie zastępy kobiet, które bez powołania i kwalifi-

kacji zajęły większość stanowisk, musiały wnieść do pracy publicznej obniżenie haseł i dążeń kobiecych. Co więcej — nie mogąc sprostać w konkurencyjnej walce mężczyźnie, sięgnęły do arsenału takich środków, jak: stroje, flirt i t. p.

W tej ogromnie przeważającej masie musiała utonąć garstka kobiet innych, która mimo wszystko i wbrew wszystkiemu, zdołała ocalić przekonania i ideały.

Dlatego też sądzę, że w dyskusji nad sprawą zawodów kobiecych, nietylko rozważać trzeba zagadnienie: które rodzaje pracy najbardziej dla kobiety się nadają, ale przede wszystkim: jaki powinien być jej stosunek do tej pracy. Trzeba podnieść takie rzeczy, jak powołanie, zapał, odpowiedzialność i t. p.

I nie wiem, czy będzie to tylko starym nawykiem uczuciowym, jeśli mimo wszystko wyrażę w tem miejscu niawygasłą wiarę w to, że kobiety czekają jeszcze bardzo doniosłe zadania w życiu rodzinnym i w życiu publicznym, że gdy do tych zadań dorosną, wywołać musi radykalne przeobrażenie stosunku naszego do życia wogóle, a do pracy i zawodów w szczególności.

Że praca wychowawcza i nauczycielstwo jest głównym zadaniem kobiety, nie ulegało dla mnie nigdy najmniejszej wątpliwości. Mając dziś za sobą osobiste doświadczenie w tej dziedzinie pracy zarówno wśród dziewcząt, jak i chłopców — potwierdzam to w całej rozciągłości. Z instynktu i z przyrodzonych zdolności jest kobieta najbardziej predystynowana do tej właśnie pracy.

Ale trzeba ją do tego odpowiednio przygotować. Przed wykształceniem i kwalifikacjami fachowymi, trzeba jeszcze wyrobić w niej szersze, że tak powiem — i mocniejsze spojrzenie na świat. Nauczyciel powinien interesować się każdą dziedziną życia i pracy. Kobiecie brak dotychczas dostatecznego zainteresowania do takich dziedzin jak: przemysł, handel, technika i t. d. podczas gdy naprz. znajomością życia praktycznego w zakresie domowym o wiele przewyższa mężczyznę. To zrozumienie trzeba w niej systematycznie rozwijać.

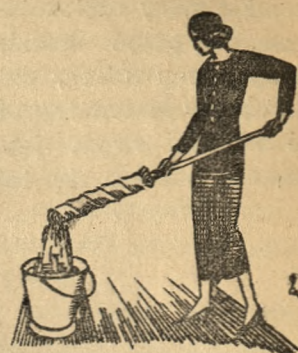
Wierzę mocno, że nauczycielstwo jest nietylko najistotniejszym posłannictwem kobiety, ale zarazem najbardziej praktycznym jej posłannictwem.

K. S.

REFORMA GOSPODARSTWA KOBIECEGO

KONKURS LÉPINE'A

III.



Opisując eksponaty wystawy na Połu Marsowem, pominęłam narazie niezwykle pomysłowe przyrządy do szorowania i zmiatania podłóg oraz mycia okien, chcąc je omówić bardziej szczegółowo. Powszechną uwagę zwiedzających zwracała budka, w której elegancko ubrana panienka demonstrowała nowy typ ścierek, tak zw. „Magie”. Ciekawy był widok tej osóbkki w lakierkach, wykonywającej najbrudniejszą domową robotę. Rysunek 1 przedstawia procedurę mycia podłogi, rys. 2—wyżymania ściereki. Przez cały czas nie trzeba dotykać ściereki, ani zginać się wpół, co jest tak szkodliwe dla kobiet. Załączone przy aparacie objaśnienia pouczają, jak zmieniać brudną ścierkę. Przyrząd ten, używany już ogólnie w szpitalach, bankach i t.p., został w ciągu roku nagrodzony trzema złotymi medalami. Cena jego we Francji 20 franków: cena ściereki — 5 fr.

„Triplex”. (rys. 3) opatentowany kij do szczotki, wyrabiany przez niewidomego inwalidę (wynalazki inwalidów stanowią poważny procent eksponatów), również parokrotnie odznaczony; służy do szeregu użytków. Można do niego przymocować zarówno przyrząd do mycia okien, szczypce do wosku, szczotki, zaopatrzone w skórzaną rączkę, wyrabianą przez tegoż fabrykanta, jak również ścierkę do wycierania podłóg (przechodzi pod najniższymi meblami) i do mycia. Najbardziej pożądanym wydaje mi się zastosowanie tego przyrządu do żelaznych opilek, którymi posługujemy się do spiliwania posadzek. (Rys. 4). Zrozumieć trudno, że w stuleciu demokracji i ochrony pracy pozwala się służącemu na trzymanie w ręku ostrych opilek, raniących i niszczących ręce oraz na czołganie się po podłodze

w pozycji zgiętej we dwoje, oddziaływającej zabójczo, zwłaszcza na kobiece organa. Należy jak najprędzej skończyć z temi praktykami, które przypominają ciężkie roboty.

Na wystawie spotykamy parę francuskich aparatów, odpowiadających amerykańskiemu „Vacuum”; wysysają one kurz i okurzają w ten spo-

opatrzony jest w miękką szczotkę, którą można czyścić ubranie, książki i t. p. W mieszkaniach niezaopatrzonych w prąd elektryczny, używać można „Vacuette” w tejże cenie, nadającą się zwłaszcza do dywanów.

Wszystkie niemal francuskie koleje i tramwaje stosują przyrządy do polerowania okien w kauczukowej listwie (Rys. 6.). Na wystawie zauważyłam dwa takie przyrządy „Le Nègre” i „Systeme D”. Najpierw zmywa się okno wodą, ew. mydłem, używając specjalnej szczotki na kij; potem poleruje się wilgotną powierzchnię, posuwając aparat w kierunku poziomym od lewej ku prawej stronie, a następnie pionowo też zlewa w prawo. Za każdym posunięciem przeciera się kauczuk. Zaznaczyć należy, że fabryka aparatów „Nègre” wysyła na miasto swoich robotników, którzy za skromną opłatą czyszczą okna w prywatnych mieszkaniach, bankach i t. p. Cena „Nègre” wynosi około 20 franków. Dzięki temu wynalazkowi można będzie znieść drugi, o pomstę do nieba wołający zwyczaj: wspinanie się naszych służących na okna by z narażeniem życia czyścić okna, zwisając między niebem a ziemią. Każda kobieta, która posiada choć trochę uczuć humanitarnych, powinna czemprędzej zastosować tę inowację.

„La Merveilleuse”. Wspomniałam już o maszynie do prania „La Merreilleuse” (Rys 7.). Wymoczywszy uprzednio przez noc bieliznę, stawia się napełniony wodą z mydłem aparat (szczegóły w objaśnieniu



sób ściany, podłogi, dywany i meble. Patentowana „Aspirette” (Rys. 5), której cena wynosi, zależnie od wykończenia, 300—400 franków, poruszana jest prądem elektrycznym, o woltażu 110 lub 220 (można ją dostawać na obstalunek woltażu). Zużywa ona minimalną ilość elektryczności (według cen paryskich 2 grosze na godzinę). Aparat za-

dołączonem do przyrządu) na płycie kuchennej, nagrzewa go, póki się woda nie zagotuje, poczem przez 10 minut obraca się tam i z powrotem zawarty w środku przyrząd, zastępujący tarkę. Potem stawia się aparat na kamiennym zlewie pod kranem (na wielkich francuskich zlewach można postawić wszelkie kuchenne naczynia i przyrządy), otwiera się boczny kran, zaś kran kuchenny, zaopatrzony ewentualnie w rurkę, wkłada do otworu w pokrywie; porusza się tarką i przepuszcza prąd wody, dopóki się nie przepłucze doskonale bielizny. Cdną aparatów 85 — 140 franków, za maszyny o pojemności 25—85 litrów.

NAGRZEWANIE ELEKTRYCZNOŚCIĄ

We Francji używa się powszechnie elektrycznych żelezek, nie brudzących bielizny, nagrzewających się szybko, nadzwyczaj lekkich i miłych w użyciu, bardzo tanich (15—60 franków, zależnie od wielkości), można je zastosować zarówno do prądu 110, jak 120 wolt; korzysta się z jakiegokolwiek kontaktu; tam, gdzie niema innych kontaktów, wkręca się przyrządek o dwóch lub więcej kontaktach, do kontaktu lampy elektrycznej,

co pozwala jednocześnie palić lampę i wykonywać różne roboty gospodarskie, w danym wypadku prasowanie. Elektryczność służy też do nagrzewania wody w szklance, mleka w smoczku i t. p. (rys. 8.) Przyrządy takie kosztują 15 — 36 franków.

L'Agrippeur pozwala zdejmować z półek, dzięki dowcipnej kombinacji dźwigni i szczypców, przedmioty najrozmaitszych rozmiarów i kształtów bez użycia drabin, zaoszczędza



więc subjektom bardzo dużo czasu i fadygi. Zastosowanie go do potrzeb domowych jest narazie utrudnione z powodu wygórowanej ceny (135 — 175 franków).

Nawlekacz igieł. Zauważyłam na wystawie kilka przyrządów do nawlekania igieł, przeznaczonych dla osób o słabym zwroku. Najlepszym wydał mi się po wypróbowaniu nawlekacz, przedstawiony na rys. 9. — Końcem drucika natrafia się (można to uczynić poomacku) na dziurkę igły, przesuwają się drucik, potem wkłada się nitkę w przestrzeń między drucikami i cofa przyrządek. Przy okazji zaznaczę, że nawlekając wełnę lub pelę jedwabną, dzielącą się przy nawlekaniu, należy użyć jakiegoś przedmiotu o kształcie, przedstawionym na rys. 9., przełożyć wełnę lub pelę i nałożyć igłę.

Grillon jest bardzo ładnym aparatem do zmiatania okruszyn ze stołu (rys. 10). Posuwa go się lekko po obrusie, poczem wyrzuca się okruszynki, zebrane we wnętrzu. Nie rozpryskuje okruszyn tak, jak szczotka. Wykonany jest gustownie i nadaje się na prezent. Cena 48 — 70 franków. F. S.

Z Kongresu wszechświatowego dla zwalczania handlu dziewczętami i dziećmi

Przedstawiciel Szwajcarii powiada, że państwo kompromituje się, wchodząc w stosunki z utrzymującymi domy publiczne, dając im koncesje.

Nigdy nie udaje się dostatecznie strzec przepisów dla domów publicznych, dokładnie określić wiek dziewczyn, nie pozwolić pozbawiać swobody istoty, tam przebywającej i t. p.

To, co jest brzydkie i straszne, nie będzie ładne, ani dobre pomimo wszelkich przepisów. — Małżonka p. Charaoni Pasza z Kairu, która przebywała 10 lat w haremie, nawołuje do energicznej walki z reglamentacją. W Egipcie straszne nadużycia wykryto w zeszłym roku. Dzieci od 8—10 lat są sprzedawane z domu do domu. W tych wypadkach zamieszani są oficerowie z Europy.

Naczelnik policji wiedeńskiej twierdzi, że z zamknięciem domów publicznych nie wiele się zyska, trzeba zabronić cudzoziemkom uprawiania prostytucji wogóle i odsyłać je do domów.

X. Prof. dr. Ude, dusza całego kongresu, znów przemawia. Prawda jest prawdą, krzywda jest krzywdą, bez względu na wyznanie wszyscy muszą stanąć na gruncie 10 przykazań. Tutaj niema kompromisów. Co jest etycznie krzywe, jest pod każdym względem krzywe socjalnie, prawnie i medycznie. Nie możemy bronić handlu mięsem ludzkim z tego kraju lub innego — wszystko jedno. Reglamentacja musi być zniesiona, tem zniesimy także handel kobietami. Musimy mieć przytulki ratunkowe, żeby właściwy skutek osiągnąć. Przedstawiciel Belgii proponuje dojście do celu etapami: najpierw wydalić cudzoziemki, a później wolno, aż do zamknięcia całości. Claude Montefiore dowodzi, że często wydalenie cudzoziemek spowoduje zamknięcie całego zakładu.

Doktorka z Urugway oświadcza, iż na żadne kompromisy zgodzić się nie możemy, tak samo mówi prof. Düring z Niemiec.

Zgrzyt w całości wytworzyło przemówienie Niemca, d-ra Junga, który zwraca się przeciwko rozkazowi

władz okupacyjnych nad Renem co do otwierania domów publicznych. Może to jest koniecznością państwową, tak zapewne myślał władze okupacyjne, ale to jest nie tylko kwestja niemiecka, to jest kwestja całego świata kobiecego. Niemcom kazano otwierać domy publiczne i zapelniać je własnymi rodaczkami. My widzimy w kobiecie coś świętego, widzimy w niej matkę, towarzyszkę. Ze zgrozą myślimy o tem, że inne państwo nam każe nasze dziewczęta z brudem mieszać. To jest hańbą nie tylko dla władz okupacyjnych, ale dla całego świata cywilizowanego. My zwalczamy reglamentację, państwo, które żąda domów publicznych powinno je zapelniać własnymi dziewczętami. W tej kwestji prosimy wszystkie narody o pomoc.

Po przetłomaczeniu tej mowy na język francuski p. Hennequin i p. Brifant silnie protestują, na sali tumult i zgłęb, przewodniczący pomimo dzwonka rady sobie dać nie może i ani jednego słowa nie słyhać. Po jakimś czasie spokój zostaje osiągnięty i na żądanie Francuzów przytoczenia przykładów p. Buchner

z Monachjum powiada, że wyciąga dane z gazety lekarskiej. W 1922 r. musiała każda prostytutka w domu publ. w Moguncji przyjąć od poniedziałku do piątku 40 — 50 czarnych, a w sobotę i niedzielę od 70 — 80. Podaje ona liczby, ile wogóle kobieta musiała w tych domach mężczyzn przyjmować. Niemcy się tłumaczą, że nie poruszyliby tej sprawy, gdyby nie rezolucja, żeby nie przyjmować cudzoziemek do domów publicznych. Wobec krajów okupowanych, Niemcy muszą się przeciwstawić tej rezolucji. Minister Hennequin twierdzi, że niemieckie dowodzenia nie są prawdziwe, a Belgijczyk Brifauld powiada, że jeżeli się to sprawdzi, on pierwszy jako poseł zaprotestuje. Proponuje tego całego incydentu nie protokołować.

Trzeci dzień obrad rozpoczyna się po obraniu prezydium odczytaniem rezolucji przez p. Kohena, proponowanych i przyjętych przez komisję. Komitety narodowe powinny wpływać na państwa, ażeby konwencja z 1921 roku była ratyfikowana. Opieka nad dziewczętami powinna być bez różnicy rasy i wyznania. Narodowy komitet powinien zebrać prawa o ochronie dziewcząt w jedną książeczkę dla użytku powszechnego.

Potem przechodzi się do właściwych rozpraw, przeznaczonych na ten dzień to jest: kobieta w służbie policyjnej.

Przedstawiciel Stanów Zjednoczonych mówi, że w Ameryce jest ogromne zainteresowanie się tą sprawą. Zadaniem kobiety urzędnika policyjnego, nie jest karanie, ale zapobieganie. W niektórych miejscach jedna lub dwie kobiety są dane burmistrzowi, albo naczelnikowi policji do pomocy.

Przy wyborze tych kobiet musi być najwyższa ostrożność i zadanie ich musi być dokładnie określone. W Stanach Zjednoczonych już jest wiele czynnych urzędniczek policyjnych.

Kobiety w służbie policyjnej powinny być łącznikiem między obecną policją i dobrowolnymi organizacjami. Mr. Kendal z Londynu oficer policji powiada, że właściwym zadaniem kobiety policjanta jest dobroczynność, zapobieganie i pomoc przy odkryciu zbrodni. W Londynie posługujemy się kobietami specjalnie przy seksualnych zbrodniach. W tych wypadkach kobiety i dzieci są przesłuchiwanie specjal-

nie przez kobiety policjantki. Zadaniem ich jest także nadzór nad dziećmi w międzyczasie od badania do sprawy sądowej.

Dzieci muszą mieć inne otoczenie, inne myśli, które muszą być dalekie od popełnionej zbrodni. Dzieci często kłamią i ażeby wydobyć prawdę trzeba mieć zręczność, studja za sobą i praktykę prawną.

Minister Hennequin rozesłał kurendę z zapytaniem, czy służba policyjna kobiet jest korzystna. Okazało się, że prawie wszystkie departamenty Francji wypowiedziały się przecząco, a szczególnie małe miasta, więc chociaż mówca jest za służbą policyjną kobiet, we Francji idea ta na razie nie będzie przyjęta.

Następnie mówi miss Rose z Portugalii jako przedstawicielka założonych przed 18 laty misji dworcowych i portowych. Spełnia swe czynności w Liwerpolu, gdzie praca na trzy zmiany trwa od 3-ciej nad ranem do 12-iej w nocy. Opieka jest przy każdym pociągu i statku. X. prof. dr. Ude twierdzi, że żadna kobieta nie może zastąpić pełnego policjanta, wypływa to z natury rzeczy. Kobieta nie ma potrzebnej siły do ulicznej służby. Jak w rodzinie mąż stara się o wszystko na zewnątrz, a kobieta w domu tak i na policji powinien być podział pracy, siła przy mężczyźnie, uczucie czyli opieka przy kobiecie.

W służbie kryminalnej powinny kobiety odbywać rewizję kobiet, zatem w policji obyczajowej może kobieta oddać duże usługi. Pani Urban z Wiednia komunikuje, że tam już 400 kobiet jest na policji; ale że powinny być wprowadzone do policji kobiety lekarki.

P. Rolfe z Londynu opowiada, że w ostatniej wojnie 4000 do 5000 kobiet przyjęło dobrowolnie służbę policyjną i dobrze ją spełniały.

Następnie przedstawiciele wielu państw: jak Norwegji, Szwecji, Włoch i Egiptu przemawiają za służbą policyjną kobiet, twierdząc, że przy badaniu kobieta się lepiej wypowiada kobiecie niż mężczyźnie.

W imieniu międzynarodowego komitetu przedstawia p. Kohen tekst rezolucji kongresu, z których najważniejszą jest rezolucja, ażeby wszystkie państwa ratyfikowały i przeprowadziły Konwencję Genewską z roku

1921. 2-ga rezolucja dotyczy publikacji niemoralnych, stanowiąca największą pobudkę do handlu dziewczętami i dziećmi.

Zbrodnie popełnione na młodocianych mają być specjalnie surowo karane. Trzecia rezolucja dotyczy emigracji. Nierozdzielanie członków rodziny przy rozpoczęciu podróży, podczas podróży i przybyciu na miejsce przeznaczenia.

Koniecznem jest dopuszczenie zastępców organizacyj opiekuńczych na statek, wywieszenie tablic ostrzegających i doradczych, ochrona wolności osobistej, opieka nad wszystkimi bez różnicy wyznania, płci i narodowości. Do tego dochodzi dodatek belgijski, żądający, ażeby rządy odpowiednie były zawiadamiane o wyjeździe danej jednostki poniżej 21 lat, ażeby bez specjalnych pozwoleń rządów nie wolno było sprzedawać biletów podróży, a pozwolenia mają być wydawane tylko po dokładnem sprawdzeniu celu podróży. Wizy paszportowe mają mieć charakter definitywny, ażeby przy wjeździe do danego kraju nie było odmowy. 4-ta rezolucja dotyczy zakazu dopuszczania cudzoziemek do domów publicznych, które są uważane za największą podporę domów publicznych.

Ks. Prof. dr. Ude i prof. Düring z tym punktem się nie zgadzają, twierdząc, że trzeba walczyć bez kompromisu za abolicjonizmem.

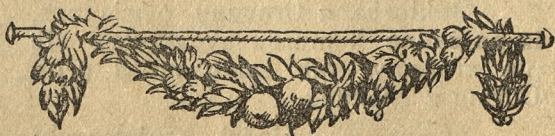
5-ta rezolucja dotyczy urzędników policyjnych kobiet, które muszą być dobrze dobrane i wykwalifikowane. Narodowe Komitety powinny wpływać na rządy, ażeby przy każdym urzędzie policyjnym była dostateczna ilość kobiet, które mają zajmować się kobietami i dziećmi.

Po ogólnem głosowaniu rezolucje przyjęte i Ks. prof. dr. Ude kongres zamyka, 52 biskupów przysyła pracom kongresu swe błogosławieństwo. — Nazajutrz po zamknięciu prezydent Rzeczypospolitej Austriackiej dr. Keimisch przemawia do kongresowiczów i dziękuje z kolei delegatom wszystkich państw.

Kongres ten ma znaczenie bardzo doniosłe, gdyż rostrzygane były sprawy nad wyraz ważne dla życia ogólnego i można mieć nadzieję, że we wszystkich krajach owoce tych prac będą wydane i choć w części zmniejszą straszną krzywdę ludzką.

Koniec

X.



M A R J A D A B R O W S K A

J A R Z Ę B I N O W A Z I E M I A

III.

STARA OBERŻA W OSTRZYCACH.

Szukając żółtych znaków po drzewach na drodze, zagłębiliśmy się w las kaszubski, zaczarowany temi samymi czarami, co wszystkie lasy polskie, co zapewne wszystkie bory świata. Więc w las, gdzie żyją podziemne krośnięta, wspólnie z grzybami przycupnięte pod omszonym kamieniem, w las, gdzie chodzi zbój, Remiasz, — Madej, gdzie się pieniądze o północy palą jak w mojej rodzinnej wsi w Kaliskiem, gdzie koło Borzestowa nad Długim jeziorem śpi zaczarowane wojsko, a w Białem jeziorze dzwonią zatopione dzwony, gdzie upiór „wieszczy“ wysysa żywym ludziom krew, a upiór „łópi“ dzwoni po nocach na zarazę.

Las bukowy, ówdzie sosnowy, lecz najczęściej bukowy, prosty i piękny, wiecznie stoi na dywanie swych starych liści, — z których za każdym krokiem wzbija się narkotyczny pył.

Teraz nie tchnie tu już znikąd surowe, radosne okrucieństwo wiosny. — Gęstwina oddycha soczystem, łagodnym ciepłem ostatnich dni lata, oczekując dojrzałością wszystkiego, stukając po gałęziach spadającymi orzeszkami. Chruszczący pokład liści i żywiczną śliską matę igliwia przebija rześista paproć i lśniące liście czerwone.

Na Tamową Górę, zwaną dawniej po niemiecku „Pretensidenhöhe“ las wspina się niewielu bukami.

Kiedys była tu ma się rozumieć puszcza, i z góry trzysta metrów widać było tylko jej huczącą powierzchnię — a jeziora znaczyły się może tylko pręgami cieniów na tym zielonym borze.

Lecz teraz leżą wszystkie przed nami na falistej, prawie bezleśnej ziemi. — Pod wielkimi obszarami niespokojnego nieba spoczywają wszystkie trzy jasne i mieniające się od przebiegu chmur. — Najpierw Rekowo służy za srebrne tło wielkiej gałęzi buku — potem Białe i Kłodno, i widać też troszeczkę Raduńskiego i białą żmijkę Raduni, przemyskającą z Kłodna do Raduńskiego.

Miedzy Rekowem i Białem, — Zamkowiszec, przesmyk, gdzie kiedys był gród, a teraz biegnie droga do Chmielna, niegdyś stolicy ziemi — a dzisiaj wsi, rozpartej sobie za wodą.

Z Tamowej Góry brzegiem jeziora Brodna idziemy na Zawory, Ręboszewo i Brodnicę Dolną do Ostrzyc.

Ani tu, ani nigdzie nad jeziorami nie widać życia rybaków, więc łódek, sieci, wioseł, rzuconych na krzaki.

Kiedys podobno cała ludność była rybacka, lecz dziś małego rybaka wyrugował wielki właściciel, lub

dzierżawca wód w potrójnej postaci: rząd, obszarnek i żyd.

Mówią, że gburiska uprawa roli dużo na tem zyskała.

Jakoż należy przyznać, że na tych znojących, pochyłych polach, gdzie pędz do pędzi w gatunku nie podobna, rośnie nawet pszenica.

Kiedysmy szli, to właśnie dojrzała na stokach nadjeziornych, a las wkraczał w jej pasma i osiki nad nią trzęsły swym liściem, lecz trzymała się dzielnie.

Żyto tymczasem już było pokoszone i ustawione w rzędy, nie spotykane indziej, „w rygi“, jak mówią tutaj. I ludzie, jak to u siebie, pracowali wszędzie już po zachodzie słońca, mimo, że się zmrok nawlekał na pola.

Wsie tutaj są nieozdobre, jak to bywa w okolicy o trudnych warunkach życia. — I zresztą gdzie je tu widać. — Wszystko w cieniu, we wnękach dolin. Na dachu strzecha mocno stara, ściany w pruski mur najczęściej, między belkami glina albo cegła. — Czarne belkowanie na białym tle muru ma swój północny wdzięk zacisza i troszkę surowego, ale pięknego ochłodstwa.

Mijając stodołę, usłyszeliśmy dźwięki lekkie i puste, z odległości tysięcy lat płynące i zarazem bliskie nieomal jak kołatanie własnego serca. To młodzi chłopcy odwiecznym, przedhistorycznym ruchem — młócili zboże cepami, mając za sobą w otwartych na przestrzał wierzejach srebrne pasmo jeziora i ciemny wieczysty las.

I kołowrotki stały też koło przyby, a tam w ostatnich blaskach zorzy, szperając wśród gałęzi, dwie dziewczyny rwały wiśnie do pięknie pisanej misy.

Już było prawie ciemno, gdy weszliśmy na romantyczną drogę, sklepioną olbrzymimi drzewami, — za którymi śniade od lesistych, wyniosłych brzegów kłaskały sennie wody jeziora Ostrzyckiego.

Pociemku przez kładkę, ścieżeczkami, przez podwórza, wlepiając oczy w żółte światła chat brnęliśmy do oberży. Stoi ona tam pod wielkimi kasztanami, zwyczajna, żółta i stara.

Okna ma zatłoczone zielenią dzikiego ogródka, i pokoiki na górze romantyczne, staroświeckie, o rozsuwanych łózkach.

Niema w niej nic pięknego, prócz może starej kanapy. Lecz wieje od niej dawnym czasem — i widmo starych dylżansów zdaje się nadjeżdżać o północy przed jej progi.

Nazajutrz kapaliśmy się w jeziorze, lecz dno jest maziste, zarosłe czemś kołącym i nieprzyjemnym. — Za to wyprawa łódką przez czarne,

pożyłkowane malutką falą wody — była prawdziwą radością.

„Przybiliśmy“ bowiem do dzikiej kępy „bezludnej“, z której zerwały się czaple i mewy. Sunęliśmy potem, szukając „dogodnego miejsca“ wzdłuż urwistego brzegu, pod czarnym błękitem lasu, czepiając się gałęzi. Widzieliśmy cietrzewia, kołającego się miękkim lotem po szczytach drzew, i jedno jedyne grono jarzębiny, wpiętą jak brosza w kołnierz zarośli. W końcu wylądowaliśmy po stromym brzegu, i widzieliśmy wewnątrz jeszcze jednego lasu, wewnątrz brzozy, popielate i zielone, gdzie wszystko jest jak było przed stu laty tu i wszędzie, więc: „dąb w objęciu kalin“, i „ożyźnia, czarne usta tulące do malin“ — W końcu syci dziecinnych radości, z ramionami gorącymi od wiosłowania, wracamy o chmurnej piątej godzinie, już pod deszczem.

Padła straszna ulewa, cały wieczór i całą noc. — Siedzieliśmy tedy przy małej lampie i przy kartach, i patrzyliśmy jak przez bar starej oberży przecieka skromne życie małej, ale troszeczkę turystycznej wsi kaszubskiej. A potem, gdyśmy już spali w głębiach nocy i deszczu, stary dom nagle zaczął chodzić i szamotać się w swych posadach.

To pijacy opuszczają gospodę — to sobota wałęsa się tak na ostatku, to odsuwają się rygle i zamki, a ostatni goście wkraczają w noc. I zaraz głucho ich ciężki krok — a odparta przez hałas ulewa nadciąga znowu i zatapia ich niepewną piosenkę.

Śród wielkiej, szumiącej deszczem ciszy, jaka bywa tylko na końcu nocy przed niedzielą, podchodzi do mnie swym nijakim sposobem słaba chęć, która napada mnie tak na różnych miejscach życia.

Żeby też tak tu pozostać. Tu jest też życie. Wszędzie, wszędzie jest życie. Nieraz, gdy coś się ma skończyć, zdaje nam się, że po tem nie będzie życia. Lecz ono jest wszędzie. I wszędzie są ludzie, skradający się wśród zasadzek i niebezpieczeństw, gnący się pod kłopotami i wałęsający się szeroko po wesołych drogach radości.

Tu zostać. W takiej głuchej wsi, gdzie czynią się jeszcze zakłady o to, kto więcej zje albo wypali, gdzie dobrzy ludzie piją gorzkie i słodkie piwo i nie wiedzą dobrze, do czego mają dziś nawiązać wszystko, co tu od czasu książąt pomorskich pięknego i polskiego poprzez najazdy i zabory na wieki wieczne przetrwało. A potem ta chęć mija — lecz zostawia po sobie jakieś nieuchwytnie zobowiązanie wobec tych stron.

(c. d. n.)

K A N I A

I.

Była to wyzliza pięknej powierz-
chowności, duża, zgrabna, o krótkiej,
przylegającej sierści — cała barwy
migdału albo kawy ze śmietanką.
Łapy miała długie, ogon sprężysty,
korpus giętki i rączy, łeb szlachetny
o wyrazie spokojnej pogody. Koniec
nosa, pysk i brzegi powiek miała nie
czarne, tylko jasno-brązowe — i to
harmonizowało z barwą włosów w spo-
sób zupełnie wyszukany. Oczy złote
z pod rzęs migdałowych spoglądały
wesoło i z pobłażliwością. Szczekała
za to głośno, grubo i poważnie.

Co do usposobienia, to charak-
teryzował ją dobrotliwy humor, łaska-
wa swawola. Pomimo pewnej wrodzonej
wyniosłości, miała obejście
naturalne, nacechowane prostotą. Nie
była czułościową ani pieszczotliwą —
nie, żartobliwa raczej i wspaniało-
myślna. Bardzo obyta, bardzo swo-
bodna, zawsze panująca nad sytuacją.
Nie brała niczego zbyt poważnie, ni-
czem się nie przejmowała. Żadna
życiowa przeciwność nie była w sta-
nie zachwiać jej niefrasobliwej pogo-
dy. Krótko mówiąc: można było
obejść pół Wołomina i nie znaleźć
takiej suki, jak Kania.

Kania kupiona była „okazyjnie”
od takiego Jana, ogrodnika, który nie
umiał się na niej poznać i niewia-
domo, skąd ją miał. Nastała do nas
z dwoma nierasowymi szczeniętami.
Jeden miał być po odchowaniu zwró-
cony Janowi, a drugi został u nas
i nazywał się Rex.

Jako matce, też nie można było
nic jej zarzucić. Wąchała swoje dzie-
ci i lizała je pięknym, różowym je-
zykiem, jak najpospolitsza suka —
czasami lekko ugryzła, gdy chciały ją
za długo ssać, a ona wiedziała, że
mają dosyć. To było wszystko. Nie
unosila się nigdy, nie wpadała w
gniew, pamiętała o nich, była z nie-
mi dość blisko — ale tylko do pe-
wnej granicy, zbytniej bowiem poufa-
łości nie lubiła.

Kiedy Jan odebrał już napowrót
swojego psiaka, a Rex został i z wie-
kiem robił się coraz bardziej zbytny,
to owszem, pozwoliła mu gryść się
i ciągnąć za długie, piękne uszy —
ale tylko póty, — póki sama miała
ochotę. Gdy jej się jednak już sprzy-
krzyło, ugryzła go mocniej i od-
chodziła sobie spokojnie i bez gnie-
wu. A Rex, obrażony na nią, głośno
i długo skowyczał.

II.

Z początku było wszystko do-
brze. Kanię powszechnie lubiono
i ona też czuła się z nami doskona-
le. Biegała sobie swobodnie, igrała

w miarę z Rexem, chodziła tu i tam.
Nikom do głowy nie przychodziło
krępować ją w jej nawyknięciach.

Nagle zaczęło się źle dziać.

Jednego dnia przychodzi sasiad-
ka i powiada, że w jej oczach Kania
zagryzła jej śliczną kokoszkę, która
już, już miała się zacząć nieść, kurę
wyjątkową, która miała ogromne za-
lety, która poprostu jest nieopła-
cona.

I rzeczywiście pokazuje dużą
białą kurę, którą trzyma za sztywne
łapy — tak, że mały łeb z czubkiem
wisi w dół na długiej szyi i kiwa się
smutnie i wymownie za każdym żyw-
szym ruchem sasiadki.

Ten wypadek dom cały zasmu-
cił głęboko. Pomyśleć: — Kania, ta
łagodna, ta miła, migdałowa Kania,
żeby popełniła taką niegodziwość —
to nie do uwierzenia.

Kanię wzięto za obrozę, przy-
tknięto jej do pyska zaduszoną kurę
i dano parę klapsów.

Przyjęła to spokojnie i pogodnie,
jak wszystko. Czy, że potroszę czuła
się winna, czy z innych przyczyn —
dość, że nie miała do nas żalu. Nie-
tylko nie okazała gniewu, czy pro-
testu, ale nawet choćby trochę uwa-
gi. Myślała pewnie: ot, drobnostka,
niema się czem przejmować.

Minął dzień spokojnie. Ale na-
zajutrz nowe nieszczęście: koło bra-
my słyhać jakiś lament, ogromne
wyrzekanie, hecę. To inna znowu
sasiadka z pod samego lasu robi
rwetes o kogutka. Kurczak, jak zło-
to, największy ulubieniec starego,
tłusty, zółciutki, zawsze pierwszy do
jedzenia. Gonila go po polu ta po-
dła suka, aż udusiła przy samej
studni.

Tego już było za wiele: codzień
mieć na obiad jakąś kurę — to w
potrawce, to z nadzieniem — prze-
cież to niemożliwe.

Zostało postanowione, że Kania
pójdzie na łańcuch. Będzie uwiązana
od świtu dopóty, dopóki wszystkie
kury w okolicy spać nie pójdą.

Kania los swój przyjęła z pogo-
dą i rezygnacją. Bez skargi leżała
na trawie przy budzie, nie zawyla
ani razu, jeszcze nawet życzliwie ma-
chała ogonem, gdy kto z nas nad-
chodził.

To jej zachowanie odrazu wszyst-
kich ujęło, rygor osłabł po dniach
kilku. Myślano, że to była może
chwila nierozwagi, miano nadzieję, że
Kania się poprawi.

I puszczono ją z uwięzi. Ale już
na drugi dzień, na spacerze z dziećmi,
Kania zadusiła ogromną kokoszkę u go-
spodarza z nad łąki i swoim zwycza-
jem ofiarę bezinteresownie zostawiła
na miejscu. Dopiero pod wie-
czór znalazła ją gospodyni i przyszła

ze złorzeczeniami na tę zakazaną
sukę, odwołując się do sprawiedli-
wości pani. Trzeba było znowu
wziąć uduszoną kurę i przyrządzić ją
na obiad.

Tym razem pani postanowiła
nauczyć tę Kanię rozumu.

Rozpoczął się wymiar kary
z wielką uroczystością i hałasem. Ale
w tem wszystkim brakło psiego je-
ku, najłżejszego choćby skowytu. Ka-
nia stała sobie cierpliwie i wyrozu-
miała, czekając, kiedy się to skoń-
czy — życzliwa nam raczej, niż
obrażona, dobrotliwa, rozumiejąca,
a więc wybacząca wszystko. „Ty
złe zwierzę, — przemawiała surowo
pani, — ty niegodziwa Kaniu, coś ty
znowu zrobiła? Patrz, widzisz tę ku-
rę? A masz, a masz!” Ale sucha,
mała różga lekko odskakiwała od
bioder Kani, wysmukłych i migdało-
wych. Pani po prostu za miękkie
miała serce, a Kania skórę za twar-
dą na takie nieszkodliwe klapsy.

Kania wybita była tylko dla
przykładu, dla zasady. Ale domyśla-
liśmy się, że niewiele to pomoże.

III.

I rzeczywiście. Wkrótce Kania
znowu poszła na łańcuch. Puszczano
się ją wieczorem, a o świcie znowu
wiązało. Ale niestety, któż potrafi
wstawać tak wcześnie, jak kura?
Chociaż się Kanię wiązało jak można
najwcześniej, zawsze jeszcze zdążyła
ona zagryść przedtem jakąś kurę,
która jeszcze raniej wstała.

I nie zmieniło się właściwie nic.
Wciąż byliśmy na djecie, a białe
mięso tak się uprzykrzyło, że nikt
już nie mógł na nie patrzeć.

Przytem za bylejakiego kuraka,
wartego nieraz grosze, trzeba było
płacić, Bóg wie, ile.

Była na to jedna rada, to jest
wcale Kani z łańcucha nie spuszczać.
Ale nikt z nas przystać nie mógł na
taką niewolę zwierzęcia.

I trzeba było się zdecydować
na rozstanie z Kanią. Komuś we
wsi wściekł się pies, dowiedział się,
że Kania jest do oddania i przyszedł
po nią. Nie ukrywaliśmy przed nim
prawdy, powiedzieliśmy mu o błę-
dach Kani i o tem, że nic na nie
nie można poradzić. Ale on wolał
mieć takiego psa, niż żadnego, i Ka-
nię zabrał.

Rozstanie było bardzo smutne.
Wprowadzie Kania panowała nad so-
bą i nie okazała wzruszenia, ale nam
po prostu rozdzierało się serce.

Odeszła za swoim nowym pa-
nem, łagodna, spokojna i migdałowa.
Żadna bowiem odmiana losu, jak
żadne jego przeciwności, nie mogły
zakłócić jej pogodnego usposobienia.

PAUL BOURGET

N O W E L A

Z CYKLU: „TRAGEDJE TAJEMNE“

W Y P A D E K S A M O C H O D O W Y

II

Tak jak przewidywałem, burza wybuchła w kwadrans mniej więcej po tem, gdy potężny motor samochodu zawarczał pod oknem restauracji, w której kończyłem swój obiad. Grzmoty, błyskawice, ulewa, wszystko to było straszne, ale krótkotrwałe. Oczekiwałem ciągle powrotu Prospera Delorme, ociekającego wodą. Ale nie wrócił. Przypuszczałem, że schronił się po drodze do jakiejś stodoły, albo, że pozostawił burzę za sobą. Te górskie huragany wybuchają na tak nieraz ograniczonych przestrzeniach.

Burza przeszła. Niebo zabłysło gwiazdami. Przewidując na jutro dzień pogodny, położyłem się wcześniej, aby wyruszyć ze świtem. Pograżony byłem w pierwszym śnie głębokim, jak bywa zwykle po całych godzinach, spędzonych na świeżem powietrzu, gdy obudziło mnie kilkakrotne pukanie do drzwi. Na pytanie moje: „Co tam?“ rzucone gniewnie i na niemniej, gniewną uwagę: „Czemu nie dajecie mi spać?“ odpowiedział mi gorączkowy głos właściciela hotelu:

— Niech pan daruje, mówił po włosku, stało się straszne nieszczęście. Ten Francuz, pański przyjaciel, który rozmawiał z panem przy obiedzie...

— Miał wypadek? Zabity?... zawołałem, otwierając drzwi hotelarzowi, który mówił dalej; już po francusku, opanowawszy pierwsze wrażenie.

— Nie, proszę pana nie jest zabity. Samochód jego przewrócił się przed wjazdem do Cortina d'Ampezzo. Szoferowi nie stało się nic. Ale on sam jest strasznie pokaleczony. Doktor mówi, że nie przeżyje do jutra wieczór... Na szczęście, można go było przenieść do hotelu. Jest tu szofer, który wytłumaczy wszystko. Pan Delorme go przysłał z prośbą, aby pan natychmiast przybył do Cortina...

— Ja? [zawołałem.] Mnie chce widzieć?

— Tak, chce pana widzieć przed śmiercią. Ale otóż i szofer.

Nieszczęśliwy człowiek, mimo wolny sprawca katastrofy, zbliżył się z twarzą, zmienioną trwogą i wyrzutami. Oślepiiony błyskawicami i nawalnym deszczem, zdenerwowany wysiłkiem długiej podróży, przed samym wjazdem do Cortina, źle obrócił kierownik. Zanim zdolał zdać sobie sprawę z fałszywej zmiany kierunku, był już odrzucony o dziesięć metrów od samochodu, który przewrócił się, nakrywając jego pana. Zaledwo tyle zrozumiałem z bezład-

nej jego opowieści. Zresztą przyczyna wypadku była rzeczą mniejszej wagi. Najważniejszym był fakt, że wypadek ten zaszedł. Prosper Delorme konał i wzywał mnie do siebie. Znalazł jeszcze siłę, aby wypytać portjera hotelowego w Coortine. Dowiedział się, że w mieście jest samochód do wynajęcia. Dał rozkaz, aby go natychmiast przygotowano do drogi i przysłał po mnie swego szofera, wraz z samochodem.

— Niech pan jedzie jak najprędzej, kończył tenże. Jutro już pan go żywym nie zastanie. Gdyby pan wiedział, jak on czeka na pana...

— Dobrze, jadę natychmiast odpowiedziałem.

Jeśli Delorme konał w istocie, było to całkiem proste, że pragnął mieć przy sobie znanego i pewnego rodaka. Mógł mieć jakieś ostatnie zlecenie do dania. Mógł uczuwać trwogę przed samotną agonją wśród obcych i płatnych ludzi. W każdym razie, powód, musiał mu szczególnie leżeć na sercu. Inaczej czyżby posyłał po mnie z takim naleganiem? Ubrałem się szybko i pojechałem. Zostawiłem rozkaz dla mego woźnicy, aby rano jechał za mną.

Świtało, gdym wysiadł z auta przed hotelem, gdzie czekano na mnie z tak dziwną niecierpliwością. Przez całą drogę, którą kilka godzin temu odbywał mój rodak, kipiący radością życia, nie przeczuwając, że pędzi do fatalnego końca, zapytywałem siebie wciąż:

— Jakże on ma dla mnie zlecenie?

I rósł wciąż we mnie szczególny niepokój; który ustąpił wnet uczuciu litości, gdy znalazłem się wobec umierającego. Spojrzenie, jakim mnie powitał, gdym wchodził do skromnego pokoju w obergerzy, wyrażało intensywność oczekiwania, podnieconą jeszcze gorączką. Ponieważ obie ręce miał złamane, uczynił głową ruch, który lekarz, siedzący u jego wezgłowia, zrozumiał jako rozkaz pozostawienia nas samych.

— Odchodzę proszę pana, powiedział po włosku i w obawie, że go chory nie zrozumie, podkreślił te słowa ruchem, zmierzającym do drzwi. Spytałem go bardzo cicho, w jego języku ojczystym:

— Bardzo źle jest, nieprawdaż?

— Beznadziejnie — odpowiedział mi tak samo i wymówił diagnozę, której dźwięk mam jeszcze w uszach: — Obrażenia wewnętrzne z krwotokiem. Niech mu pan nie pozwala mówić du-

żo, dodał. Ach! jakże on czekał pańskiego przybycia! Traci pan w nim serdecznego przyjaciela.

— Nie staraj się mnie oszukiwać, powiedział rozkazująco Delorme, gdyśmy zostali sami, a ja chciałem dodać mu odwagi tą frazeologią, jakiej używamy wszyscy u łoża konających. Będą ją stosować i do nas kiedyś. Jestem zgubiony. Nie przerywaj mi, ciągnął dalej gorączkowo. Policzone mam minuty, a tak cierpię gdy mówię. Chciałem koniecznie cię widzieć. Mam wielką prośbę do ciebie, bardzo wielką — powtórzył z naciskiem. Czy przyrzekasz, że to zrobisz? Przyrzeknij, Musisz. To wprost kwestja pewnej ludzkości. Czy przyrzekasz?

— Przyrzekam ci, odpowiedziałem, tylko uspokój się.

— Dziękuję, odpowiedział. Słuchaj: Jechałem do Toblach, do przyjaciół, mieszkających w tymże hotelu, gdzie ty masz stanąć. Jestto pewne małżeństwo z Paryża. Może znasz ich z nazwiska. — W oczach moich szukał wrażenia, którego nie znalazł. Wspomniałem już, że nic nie wiedział o jego życiu intymnem. — Państwo de Charlix... Charlix jest moim najlepszym przyjacielem. Nie chciałbym, aby z gazet dowiedział się o mojej śmierci. — Próbowałem uczynić ruch zaprzeczenia. — Tak, o mojej śmierci, powtórzył, bo ja umieram. Trzeba go przygotować i dlatego przedewszystkiem dać znać najpierw pani de Charlix... Proszę, abyś udał się samochodem wprost do Toblach... Zobaczysz się z nią. Powiesz jej... Powiesz jej wszystko, co się stało i powtórzysz naszą rozmowę obecną... Oddasz jej...

Zrobił ruch jakby chciał wstać, potem opadł. Głową wskazał mi stół. Tam leżały różne przedmioty, znalezione w jego kieszeniach. Położyłem rękę na pugłaresie.

— Tak, to... — szepnął. Powiesz jej... Ach! nie mogę, nie mogę już... Ale dziękuję...

Omdlewał. Wysiłek był za wielki. Zawołałem spieszenie na pomoc. Doktor czekał pod drzwiami.

— Tego się obawiałem, powiedział. I tak nadzwyczajną jest rzeczą, że przetrwał te kilka godzin. Nerwy go podtrzymywały...

— A teraz?

— Teraz? — odpowiedział, pochylając się nad chorym, aby zbadać serce. Pokiwał głową.

— Zrobię co jest w mocy ludzkiej. Ale obrażenia wewnętrzne są tak poważne...

(c. d. n.)

tłumaczyła M. D.

23)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

— Więc, jeśli zechce Bóg, to mi samotność da!... Ja nie chcę nic brać gwałtem, nie chcę zmuszać, nie chcę „wyrabiać“ w sobie...

— Czemu?

— Nie wiem! Nie wiem doprawdy! Tak czuję. Wydaje mi się to, jakby kradzieżą świętego ognia... Pamiętasz w Księdze Legend: Pycha kradła ducha Bożego... To jest coś w tym rodzaju...

On patrzył na nią badawczo, głęboko.

— Wierzę silnie intuicjom twoim, tym nagłym światłom, co zapalają się niespodzianie w twoim umyśle, ale...

Popadł w zadumę i była długa cisza.

Wanda siedziała w rogu małej kanapki, tuż obok kominka. Skrzydło ekranu rzucało na nią cień i twarzy jej dobrze widać nie było. Na oblicze Wrzeszcza padał natomiast jasny blask ogniska.

Po chwili zapytał.

— Więc nie chcesz pójść za mną!...

— Nie mogę...

— A gdyby... gdybym cię prosił, byś poszła za mną jako żona moja, towarzyszka spraw i trudów?...

Ona cofnęła się jeszcze głębiej w cień i tylko w mroku bieleły zarysy jej czoła i rysował się kontur głowy.

— Gdybyś chciał mnie za żonę... gdybyś mnie wołał na zwykłą drogę prostego, ludzkiego życia... tak... poszłabym za tobą... bo, bo ty byłeś i jesteś, nie wiem dlaczego, jedyną moją miłością! bo widziałabym w tem przeznaczenie moje... — mówiła głosem nieswoim, miękkim, przyciszonym. — Ale to przecież nie nasza droga... Nie pójdziesz nią, wiem...

Wrzeszcz wstał.

— Tak! Istotnie. Nie pójde! A przecież, chciałbym cię mieć bliską, siostrzaną! Chciałbym otworzyć przed twoim wzrokiem krainę bogactw, jakich nie domyślają się ludzie. Pragnąłbym otworzyć przed tobą kraj własnej twojej duszy: widzieć cię, uzbrojoną w siły tajemne, w wiedzę ducha, nieznana ludziom zachodu...

— Ach, ja nie mogłabym — choćby nawet nie było we mnie tej odrazy do waszych „ćwiczeń“, nie mogłabym... porzucić biednych braci moich, nie mogłabym... odejść od Matki... ..I po co? To, do czego mnie wzywasz — to... jakiś kolosalny egoizm... — jakaś pycha nadludzka!

Wrzeszcz chodził po pokoju, raczej snuł się bezszelestnie...

— Najdroższa! Najdroższa! Ty nie wierzysz mi! Z tą władzą, którą

zdołać możesz, byłabyś silniejszą od panów ziemi i mogłabyś. — Właściwie nie wolno mi czynić ci tych obietnic... Nie wolno dla celów ziemskich, dla rzeczy przemijających sięgać po wyższych, duchowych sił... On powinien być celem twoim sam przez się... Ale, ja tak pragnę wprowadzić cię w krainę cichych szczytów i mgieł bezkresnych, poślubić cię, nie małżeństwem ziemskim, a stokroć głębszym i istotniejszym braterstwem ducha... I powiadam tobie, jeżeli w czystym powietrzu bezkresu nie zblednie ci umiłowany ideał ojczyzny, jeżeli wtedy, wyższemu już oświeconemu światłem, zapragniesz pęta te rozerwać... wtedy będziesz władna...

Jest w tobie większa moc, niż przeczuwasz, mieszka w tobie duch silny i groźny... Wando, mistrze moi czekają na ciebie!...

Patrzyła nań przerażona.

W mroku pokoju, przy przeblaskach dogasającego ognia twarz mu się zmieniła dziwnie... stał przed nią człowiek nieznajomy... potężny... nakazujący i tak przeduchowiony, że w pewnej chwili zdawał się widziałem raczej, niż człowiekiem z krwi i ciała... Oczy tylko paliły się wciąż słonecznym blaskiem.

— Nie zmuszaj mnie — rzekła głosem słabym i drżącym — na miłość naszą zaklinam!...

On wzrok, pełen nakazu odwrócił.

— Ach, zakłękaś mnie... — rzekł smutno.

I znów stał przed nią Jan, kochanek snów młodości...

— Takie dziwne mówisz rzeczy! Takie dziwne... Ja nie wiem... Pozwól mi do jutra... ja muszę rozprawić się z sobą, ja muszę zapytać o to mej duszy.

* * *

Gdy przyszedł nazajutrz, Wanda zaczęła pierwsza.

— Janie, myślałam długo, bardzo długo w noc, dokładałam drew do ogniska i przy blasku płomienia badałam siebie. Pokazała mi się ta, której pragniesz — dusza moja... ona jest prosta i uboga... Janie! cała jest odziana w białe, lniane chusty... płachtę białą zawiązaną ma u szyi... i w płachcie trochę ziarna... Ona to ziarno sieje w ugory zdeptane... ona musi ziarno to rzucać w odłogi piaszczyste, w pustki jałowe, w łęgi żałosne, a czasem nad nią zaklekocą bociany wieścią o wiosnie... a czasem przeleci z jękiem klucz żorawi —

Ona jest siewaczka uboga i nic innego nie umie... tylko sieje, sieje te ziarnka... w przyszłość daleką...

I rzekła mi, że to nikle światelko, co jej się pali nad czołem, zgaśnie, skoro się ją oderwie od tej roli czarnej, od skib chwastem porośłych, skoro się ją oderwie od tej nędzy... bo ona w lniane odziana chusty chłopianka uboga! i podejmuje ciębie pod nogi i łzami się tobie tłumaczy, przebaczenia prosi...

Jak zwykle, klęcząca przy kominku u jego stóp, w tej chwili pokłoniła mu się do ziemi. Była w białej wełnianej domowej sukni i Wrzeszczowi wydało się, że widzi tę jej duszę.

Podniósł ją i stojąc przed nią z głową spuszczoną, mówił:

— Mądrość druidów masz ty w sobie i widzę, że błądziłem, namawiając cię, byś z drogi twojej zboczyła. Idźże sama, bo wiesz, dokąd idziesz ty, przedziwnie z ziemią twoją związana — a potem z uśmiechem, który miał w sobie wszystkie smutki świata — już — nic! Odejdę... i może kiedyś, u końca... a może na jakiej gwieździe złotej. — Już — nic! — powtórzył. Tylko o wiosennym poranku, gdy na wschodzie zapali się zorza, a gwiazda poranna błysnie pod sierpem miesiąca — pomyśl o mnie i zapragnij... a stanę przy tobie i odczujesz, żem jest...

Wandy głowę osnuły w tej chwili mgły przypomnień...

Ach noc, nocka czarna, a u wschodu palą się zorze i sierp miesiąca... sen jakiś... sen jakiejś nocy dawno zapomnianej... mgły, ciche mgły suną... Wanda śni swój przedwiekowy sen...

Gdy się zbudziła, Jana nie było już w pokoju...

Chciała biec za nim, przywołać, odwołać!... Nie mogła...

Jakiś w nią wstąpił spokój dziwny i nieruchomość kamienna... słyszała uderzenia swego serca, czuła rozdzierający ból rozstania, ale nic już zmienić nie mogła. Już — nic.

* * *

Nazajutrz tak samo bił jesienny deszcz w szyby, tak samo wygrywał na nich żalosne melodie bez końca i tak samo po dużym pokoju, rozwidnionym tylko ogniem kominka śnuła się smukła postać kobieca. Tylko przy kominie nie było już wschodniego fantasty, mędrca o oczach pełnych blasku i łagodnym uśmiechu, marzyciela, poety, poszukiwacza prawdy Bożej, nie było Janal... (c. d. n.).

AMERYKAŃSKIE LISTY KOŚCIUSZKI

Byłam któregoś dnia na wystawie pamiątek, dotyczących pobytu Kościuszki w Ameryce. Wystawę otwarto w Warszawie w Pałacu Staszyca.

Wyznajmy to sobie poufnie, że Kościuszkę spowszedniał nam cokolwiek.

Tyle razy wymawiamy jego imię w dniu rocznic. Naśpiewaliśmy się o nim tyle pieśni. Tylekroć widzieliśmy jego wizerunek na pocztówkach, obrazach, przedmiotach — ręce nasze tak często dotykają tego oblicza, wydrukowanego na banknotach — że przestało nas wzruszać.

Nasza część dla Kościuszki stała się urzędowa i chłodna. Głębokie wzruszenie, które kiedyś gięło kolana na dźwięk imienia tego wodza ulotniło się jak zapach pięknego, zaszuszonego kwiatu.

Jesteśmy też narodem niepodległym. Inne mamy przed sobą zadania, troski i wzloty, niż rozpamiętywanie starych, zaszczytnych klęsk. — Demokracja też już nie polega na zmniejszeniu pańszczyzny. Dziś serce prędzej nam zadrży na wiadomość o dzielnym czynie jakiegoś prostego przechodnia, niż na wspomnienie bitwy Racławickiej lub Manifestu Połanieckiego.

Lecz jeśli ktoś był wielki naprawdę, tego wielkość pasować będzie do dni dzisiejszych i do dni, które nadejdą, jak pasowała do swojego czasu. — Trzeba tylko umieć odrzucić konwencjonalizm i podejść do wielkiego Zmarłego jakoś osobiście, własnymi, pełnymi podziwu oczami, zobaczyć jego największe człowieczeństwo, odczuć je nagle jako wskazanie własnego życia.

Takiego uczucia doznałam przeczytawszy na owej wystawie listy Kościuszki, pisane w latach 1782-84 w czasie wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, do Generała de Greau'a i do przyjaciół. Z kartek

szerokiego, amerykańskiego papieru, na którym pisał swoje angielskie listy — ukazał mi się Kościuszkę taki, jakiego dawno już nie widziały moje myśli.

Odnowiony, wzruszający do głębi serca, żywy, pełny szlachetnego honoru, nie wietrzącego tak samo jak męstwo i niezłomność — pełny wzniosłych uczuć braterstwa, niezrealizowanych wśród świata po dziś dzień.

W jednym z tych listów, Kościuszkę przesyła jakieś rzeczy wojskowe swemu generałowi przez dwóch murzynów. Sam będąc ze swymi oddziałami w zupełnym niedostatku, pisze: „Polecam panu generałowi dwóch murzynów. Są nadzy, potrzebują koszul, zakrętów, spodni, a ich ciało, może zarówno jak nasze — nosić dobre rzeczy”.

Na owe czasy trzeba było być człowiekiem olbrzymiego serca, żeby napisać te proste słowa w czasach, gdy w Ameryce istniało niewolnictwo. — Lecz co więcej. Dziś jeszcze, jak wiadomo, przodujący chrześcijański świat w tylu rzeczach Amerykanie, w gruncie nie wiedzą, czy napewno murzyn jest takim samym jak oni człowiekiem. Pójdziemy dalej. Odsłońmy, pokonawszy tchórzostwo, nasze demokratyczne, powojenne dusze europejskie. Niema tu murzynów, lecz, czy prawie każdy naokoło siebie niema ludzi, wcale nie czarnych — białych — o których nie jest pewien, czy ich ciało może tak samo nosić dobre rzeczy jak nasze?

Kościuszkę już wtedy był pewien, że może to ciało murzyna. Gdyż murzyn był już wtedy dla niego takim samym bratem, jak każdy człowiek. Bratem przestawał być dla niego ten, kto godził w czyjąś wolność. Wtedy Kościuszkę z nim walczył.

A oto inny list, pisany do przyjaciela Williams'a już z Paryża.

„Nie chcę zabawiać cię elegancją lub bogactwem Paryża. Potrzebujemy wolniejszego pokarmu dla naszych bezstronnych uczuć, bo odczuwamy ścisły związek, jaki przyroda naznaczyła między pokojem, a nienawiścią, bogactwem a przemysłem, między spokojem a walecznością i cieszeniem się wolnością”.

Czyż w słowach tych nie jest wyrażony światopogląd społeczny, który do dziś jest aktualny i do dziś niespełniony?

Zastąpmy tylko staroświeckie słowa, jakich używał Kościuszkę. Zamiast „niewinność”, powiedzmy „sprawiedliwość” — zamiast „przemysł” — powiedzmy „praca” — bo o tych rzeczach myślał Kościuszkę, pisząc swe przyłacielskie credo.

Wtedy zobaczymy, że słowa te są po dziś dzień wyznaniem wiary wszystkich ludzi, walczących o lepsze jutro. Pragną oni, tak jak ich wielki brat z przed półtora wieku, ustanowić słuszny związek między pracą, a bogactwem, sprawiedliwością, a podbojem zewnętrznym i wewnętrznym — między którymi to wartościami tak mało wciąż jakiegokolwiek rozumnego stosunku.

Taki był więc Tadeusz Kościuszkę, dostrzeżony przez pryzmat kultu, który dla nas nie jest nałogiem, więc pozwala nam patrzeć bystrzej — kultu Ameryki.

Człowiek wysoki i daleki, człowiek prosty i dobry, cały ze szlachetnego kruszcu. Oficer — mason, wódz obcego narodu — naczelnik Powstania Ojczyzny, rewolucjonista i społecznik, czciciel Boga i przyjaciel ludzi — wkraczający myślami swymi i sercem swoim w czasy, które dopiero nadchodzą, przewyższający niemi to nawet, co wołał z siebie, w bogatym życiu czynem ujawnić.

M. D.

Zaślubiny Marji Gonzagi, księżniczki Mantuańskiej z królem polskim Władysławem IV Wazą. R. P. 1645.

(Z pamiętników pani de Motteville, damy dworu i faworytki Anny Austrijskiej, królowej francuskiej.)

W dzień oznaczony księżniczka Marja przybyła wczesnym rankiem z pałacu Neverskiego do pani de Bregi, żony ambasadora francuskiego, zamieszkałej w pałacu królewskim. Miejsce to było dość bliskie kaplicy, do której w każdej chwili zejść mogła w razie potrzeby. Poszłam ją zobaczyć, gdy się ubierała na ten sławny dzień. Znalazłam, że była piękna i bielsza niż zazwyczaj, chociaż była zawsze bardzo biała z natury, ale przy wielkich okazjach panie nie pozwalają nigdy na to, co im daje natura. Figurę miała księżniczka piękną,

będąc wtedy tuszy umiarkowanej. Miała trzydzieści i trzy lata. Oczy miała czarne i piękne, włosy tejże barwy, pleć i zęby piękne, a inne rysy twarzy ni piękne ni szpetne. Ale w całości była piękna i miała dużo wielkości w całej postaci, jak na królowę przystoi. Zdawała się być zasługiwać na to, czem być zamysliwała, poślubiając księcia Orleańskiego i czem być miała, poślubiając króla.

Strój jej ślubny składał się ze stanika i ze spódnicy z białego srebrnolitego płótna: srebrem haftowanego. Na tę suknię chciała włożyć

płaszcz królewski polski, który jest biały, usiany w duże złote płomienie, ale ponieważ ślub odbyć się miał bez występów, królowa była zdania, aby go nie kłaść. Pozostała więc w swej srebrnolitej sukni, która jako że zrobiona była na spód, była za krótka bez okrycia i nie miała powagi, której okoliczność wymagała. Przystrojona była księżniczka w perły i brylanty korony, które królowa własnymi rękami na niej upięła. Strój ten dopełniała zamknięta korona z wielkich brylantów i pereł wielkiej wartości. Kiedy już miała ją włożyć, księżniczka

zawahała się czy może to zrobić przed odbiciem się ceremonii, i rozkazała mi pójść zapytać o to królową, która raczyła powiedzieć mi, że księżniczka nie miała jeszcze do tego prawa. Kiedy już była ubrana, księżniczka chciała się pokazać królowej, która była w swoich pokojach, przeszła więc tarasę, łączącą dwa korpusy gmachu, wraz ze swymi dwoma przyjaciółkami, z moją siostrą i ze mną.

Polacy, którzy stali w podwórzu na dole, oczekując godziny mszy, ujrzawszy ją, poczęli wydawać okrzyki radości, obsypując ją tysiącem błogosławieństw. Księżniczka poszła do pokoju królowej, a podziękowawszy jej za dobroć, której od niej zaznała, zwróciła się do kardynała Mazarina, który się jej był godnie przysłużył i powiedziała mu, że przysłała mu pokazać, czy jej do twarzy w tej koronie, którą on jej na głowę miał włożyć.

Królowa, ustrojona w wielkie perły i welon¹⁾ żałobny, poprowadziła ją do kaplicy przez wielką galerję: za całe towarzystwo byli obecni: król, królowa i ta która się nią stać miała, mały Monsieur²⁾ i książe Orleański. Księżniczka, której przeznaczona była zamknięta korona, uklękła na suknie pośrodku kaplicy, mając króla po prawej ręce, królową po lewej. Monsieur brat i książe Orleański, stryj królewski, klęczeli niżej na podłożnym suknie, a tak dnia tego książe Orleański niższym był od niej. Moment, w którym księżniczka obaczyła się wywyższoną nad tego niewiernego księcia, a nawet nad królową, której była poddanką, zanim ojciec jej stał się panującym, był dlań z pewnością najmiłszym i najprzyjemniejszym w życiu.

Biskup Warmiński odprawiał³⁾ i dopełniał obrządku małżeńskiego swych króla i królowej, którą poślubił w imieniu swego króla Palatyn. Po odprawieniu mszy włożono jej na głowę koronę. Pani de Senecé i Champagne kuafer oddali jej tę dobrą usługę. Prócz Polaków, po osobach królewskich i krwi królewskiej były w kaplicy: dama dworu królowej, którą wymieniłam przed chwilą, marszałkowa d'Estrée, pani de Montausier i pani de Choisy⁴⁾; te trzy ostatnie były przyjaciółkami od serca królowej polskiej i ubłagały królową, by je tam ścierpiała, pani de Bregi, moja siostra i ja byliśmy tam także.

Po skończonej ceremonii królowa poprowadziła na obiad nową królową, przeprowadzając ją przed sobą, czego wiele osób nie pochwaliło, jako że królestwo to jest obieralne. Posadzono ją pośrodku stołu, który był bar-

dzo długi, miała króla po prawej, królową po lewej ręce. Obok króla siedział książę Orleański, obok którego posadzono Biskupa Warmińskiego. Książę d'Anjou, nasz mały Monsieur, nie siedział za stołem, nie będąc jeszcze w wieku zajmować przynależnego sobie miejsca w podobnych okolicznościach. Obok królowej siedział książę Palatyn, resztę stołu zajmowali Polacy. Był to obiad iście królewski, złożony z kilku zmian z całym wyrafinowaniem francuskim i z wielu cukrów. Po uczcie tej, która była długa i bardzo nudna, obie królowe poszły spocząć do wielkiego gabinetu, gdzie królowa traktowała nową królową zawsze w ten sam sposób, podając jej zawsze prawą rękę.

Poczem nowa królowa została odprowadzona przez króla i królową do pałacu Newerskiego, gdzie wszystkie osoby ze dworu oczekiwały, by ją przywitać. Ksiądz de la Rivière⁵⁾ składając jej komplementy, powiedział, że lepiejby jej było pozostać we Francji jako Madame. Odpowiedziała mu na to dumnie, iż przeznaczeniem jego pana jest być Monsieur, jej zaś być królową i że jest ze swego przeznaczenia zadowolona. W kilka dni potem królowa wydała na jej cześć bal, który był wspaniały. Tańce się odbywały na scenie wielkiej sali pałacu królewskiego, której amfiteatr jest uważany za cud sztuki geometrycznej. Panowie i panie byli postrojeni. Pannie prześcigały się masą drogich kamieni i, o ile mogły, pięknosciami, a tamci piórami, wstęgami, haftami i postawą; każdy wedle swej możliwości i hojności natury. Podano wielką kolację, obfitującą we wszystko, co obce kraje i Francja mogły w tej porze roku dostarczyć. Królowa raczyła księcia Palatyna, rozkazując podawać mu wielkie misy pełne słodkich pomarańczy, słodkich cytryn i konfitur, a umiała ona robić to wszystko z największym powabem na świecie. Siedziałam bardzo blisko tego ambasadora i zauważyłam, że patrzył na całe to piękne zebranie z bardzo miernym zachwytem i całkowicie zamknięty w wielkiej powadze, która bardzo zaszczytnie o nim świadczyła. Królowa polska miała dnia tego suknię z czarnego aksamitu, haftowaną złotem, która była bardzo bogata, ale miała coś zbyt twardego w sobie, by móc się przyczynić do upiększenia jej twarzy. Król poprowadził ją w taniec, a mimo że był jeszcze taki młody, takie dziecko, tańczył już prześlicznie i doskonale.

Deputacja miasta na rozkaz królowej przysłała złożyć cześć nowej królowej, i czyniono jej wszystkie możliwe honory. Lud biegł na wszyst-

kie strony, żeby ją zobaczyć, tak jakby korona mogła być zmienić jej twarz, dwór jej też był bardzo liczny, dopóki pozostawała we Francji. Przyjaciółki jej, mimo radość, którą odczuwały, widząc ją na tronie, bolały bardzo nad utraceniem jej, bo była miła dla tych, z którymi pozostawała w zażyłości.

Wyjechała ona w krótkim czasie po zaślubinach, pozostawiając cały dwór zadowolony ze swej uprzejmości. Ucałowała wszystkie kobiety i dziewczęta pewnego urodzenia, nie zmieniała zachowania ze swymi przyjaciółkami, aż tak że kazała im siadać w swej obecności, gdy były z nią same. Mimo że księżna ta była zadowolona z narodu, którym jechała rządzić, lękała się jednak tego, czego nie znała i okazała wiele żalu, opuszczając to, co kochała.

Kiedy przybyła na ziemię króla hiszpańskiego, naród ten tak bardzo dla pań czołobitny, przyjął ją ze wszystkimi oznakami uszanowania, jakich tylko zapragnąć mogła. Urządzono jej wjazdy we wszystkich miastach Flandrii i nasze gazety były pełne czas długi opisów wspaniałości, z jakimi ją przyjmowano od granic Francji do granic Polski.

Za zbliżeniem się do Gdańska odnoszono się do niej z wielką czołobitnością, a z tego, cośmy tu widzieli z bogactw Polaków nie trudno mi było uwierzyć temu wszystkiemu, co głosiły przysłane tu relacje.

Jako że wszelakie dobro jest zazwyczaj z wielą złego zmieszane, cała ta wielkość królowej polskiej straciła na blasku z przybyciem jej do swej stolicy, a cała jej radość się rozpięchła wobec tego króla, do którego z tak daleka zjeżdżała. Przyjęto ją w Warszawie dosyć cicho, bo stary król przygnieciony podagrą i tuszą, a chory i zgryźliwy, nie pragnął żadnych uroczystości na jej przyjazd. Nie znalazł jej tak piękną, jak jej portrety i nie okazał, jakoby miał cenić jej osobę. Słyszałam od marszałkowej de Guebriant, która odprowadziła ją z rozkazu królowej do Warszawy, że stary ten mąż przyjął ją w kościele, siedząc w krześle, z którego nie powstał, by ją powitać, a nawet nie udał tego. Ona, zbliżywszy się do niego, uklękła i pocałowała go w rękę. Król przyjął to przywitanie bez najmniejszej słodyczy i łaskawości. Popatrzył nań poważnie, pozwolił jej pocałować się w rękę, nie odezwawszy się do niej. Jednocześnie zwrócił się do Bregi'ego, ambasadora przy swej osobie, i powiedział do niego głośno: „Toż jest ta wielka piękność, o której opowiadaliście mi tyle cudów”? Marszałkowa de Guebriant mówiła mi, że księżniczka ta, nie dostrzegłszy w nim nic prócz szorstkości i sportręglęszy całą niechęć, którą jej okazał, zdumiała się i że to złe przyjęcie, połączone ze zmęczeniem podróżą, tak ją zeszpeciły, że wedle jej

¹⁾ Królowa Anna Austriacka nosiła przez cały szereg lat żałobę po królu Ludwiku XIII, mężu swoim.

²⁾ Filip, książę d'Anjou, później książę Orleański i założyciel dynastji książąt Orleańskich, młodszej gałęzi Bourbonów ur. 1640, zm. 1701.

³⁾ Dnia 6-go listopada 1645.

⁴⁾ Matka księdza de Choisy, autora „Pamiętników”.

⁵⁾ Księcia Gastona Orleańskiego, na którego miał duży wpływ i którego prowadził sprawy dość długi czas i nie zawsze zbyt wiernie, intrygując między księciem a kardynałem Mazarin, wskutek czego wpadł na ostatku w niełaszkę księcia i dostał Biskupstwo — Langres w nagrodę od Mazarina, um. r. 1670.

mniemania król miał słusność być niezadowolonym. Rumieniec zawodu i wstydu nie jest różem zdobiącym kobiety, a boleść zagasza blask ich oczu. Król chory i podagryczny, odegrawszy rolę okrutnego, wstał ze swego krzesła i podszedł do ołtarza, u którego nie wyzbywając się swej szorstkości, na nowo zaślubił swoją królową, która po skończonej ceremonii usiadłszy uczestniczyła w śpiewaniu hymnów ku chwale Bożej i na złożenie dzięków za połączenie ich związkiem małżeńskim. Zaprowadzono potem królową do domu króla, jej męża, gdzie Ich Królewskim Mościom polskim podano wieczerzę, złożoną z mięsiwa, które się wydało przeraźliwym oczom królowej i Marszałkowej de Guebriant, a gorszem jeszcze tysiące razy ich podniebieniom.

Wszystko wreszcie, co obaczyły, przelekło je, i wieczorem królowa, zastraszona położeniem w którym się znalazła, powiedziała cichutko swej przewodniczce, że lepiej wrócić od razu do Francji. Reszta dnia przeszła w ten sam sposób. Król nie odezwał się do ani razu i był bardzo dalekim od oświadczenia jej jakiegobądź uczucia czułości, tak że wbrew swym oczekiwaniom, musiała się usunąć do oddzielnych pokojów, by w nich spędzić noc samotnie.

Pani de Guébriant poskarżyła się na to, i powiedziała tym z tego narodu, których знаła, jako że towarzyszyli królowej w podróży, że Francja nie byłaby zadowolona, gdyby okazano wżgardę dla tej, która od niej pochodzi. Powiedziała im, że nie może powrócić ukontentowana, nie

ujrzawszy poprzednio króla mniej obojętnego dla królowej. Skargi te położyły niejako kres wżgardliwości króla i zniewoliły go odnosić się lepiej do królowej i żyć z nią jak z żoną. Kiedy pani de Guébriant ją opuszczała, zaczynała ona być nieco bardziej zadowolona i pocieszać się wspaniałymi darami, które nań ze wszech stron spadały, bo w kraju tym, gdy królowie się żenią, poddani ich mają zwyczaj czynić królowym dary wielkiej wartości. Nadzieja wzbogacenia się pocieszyła ją. Wzbogaciła się też, a skarby, które uzbierała, posłużyły jej wkrótce potem w wielkich przejściach, które Bóg jej od tego czasu zesłał, a które wstawiły ją przez dowody mocy i odwagi, które wykazała wobec całej Europy.

Koniec.

Przełożyła Leonja Krollówna

27)

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 1826)

Dowiedziała się przynajmniej, że los więźniów zależy od specjalnych rozporządzeń Najwyższej Władzy.

„Ale jak sformułowany jest dekret? — pyta gubernatora Medjolanu, hr. Strassoldo. — Czy mnie wolno pisać i w jakich terminach? Czy mam za każdym razem prosić o pozwolenie pańskie, panie hrabio?“

Żadnej odpowiedzi. Biednej kobiecie wydaje się, że ma przed sobą jakiś głuchy mur, do którego kołatać próżno i straszliwy lęk ją ogarnia.

A tu powoli zaczynają napływać wieści o Spielbergu.

Warownia niegdyś potężna, wspaniale położona na wzgórzu, dominującą nad 30-to tysięcznym miastem Bernem, stolicą Morawji, zniszczona przez Francuzów, służyła teraz, jako zakład karny, na pomieszczenie trzystu kryminalistów i kilkudziesięciu więźniów politycznych. Siedzieli tu od 1821 r. Wenecjanie: Silvio Pellico i jego towarzysze karbonariusze, teraz przybyli Medjolańczycy.

Żołnierze włoscy, odbywający w Bernie służbę, piszą do domu, że „od łez wstrzymać się nie mogą“, przechodząc obok murów przekłetej fortecy. Krążą pogłoski, że młody Wenecjanin, hr. Oroboni, umarł tam przed niedawnym czasem — z głodu.

Pewną jest rzeczą, że więźniowie stanu są traktowani „bardzo źle, na równi z mordercami“.

Byli traktowani gorzej od morderców.

„Czem my jesteśmy? — pytał Confalonieri w swoich bolesnych,

ukradkiem spisywanych zapiskach. — Niewolnikami, czy więźniami stanu? Wszystko, co kodeks karny wymyślił kiedykolwiek dla udrczenia i złamania ciała pospolitego zbrodniarza, mordercy i zbója — wszystko, czem wyrafinowana inkwizycja posługuje się dla udrczenia i złamania duszy politycznego przeciwnika, wszystko to zastosowano tutaj wobec nas!“

Działacz pełen energii, przed którym „w trzydziestym dziewiątym roku życia zamknęła się scena świata“, pogrzebany w zabójczej pustce kazamaty, „bez światła, bez książki, bez ludzkiego słowa“, pierwszy magnat w kraju, dziś najniebezpieczniejszy z aresztantów, ubrany, „jak na maskaradę“, w uniform więzienny, istny „błazeński strój“, dwubarwny, pół szary, pół w brązowe i białe pasy, z wybitym na suknie numerem, zastępującym miejsce nazwiska, czuje, jak każdy nerw drga w nim z obrzydzenia pod zgrzebną bielizną, „istną włosienicą“, przesiąkniętą odorem wstrętnym, jak zresztą wszystko dokoła.

Pierwszego dnia po przybyciu nie dostał wcale jeść, bo „godzina urzędowa“ rozdziału strawy minęła, za to zbudzono go pierwszej zaraz nocy do rewizji, beżmyślnie okrutnej, upakarzającej; na drugi dzień przekuto go w kajdany spielbergskie, lżejsze niż w drodze, ośmifuntowe i o tyle szersze, że mógł sobie szmatami owinąć pokaleczone nogi, ale niezmiernie utrudniające chodzenie. Dla chorego nie było tu względów, aresztant „chorował, leżąc na gołych deskach i umierał w żelazach“, co najwięcej lekarz polecał dać ciężko

choremu lichy siennik, wypchany słomą, pełną robactwa.

„Ale, Boże mój! — wzdycha więzień — jakże łatwe do zniesienia, jak mało znaczne wydają się warunki fizyczne, gdy je porówna się z naszym stanem moralnym!“

Wyzuty ze wszystkiego, człowiek nagi pod żelazną pięścią przemocy, musi z własnej duszy wydobyć tyle hartu, aby odziać się nią, jak zbroją — mało tego, osłonić po ojcowsku całą nieszczęsną gromadkę swoich młodych towarzyszy, upokorzeniom przeciwstawić spokojną godność, która obudzi podziw nawet u dozorców.

Jak zazwyczaj bywa, prości ludzie patrzą się z pewnem współczuciem na mękę, której ulżyć nie mogą. Znęcanie się idzie z góry.

„Zaostrzenie cierpień daje nam jedynie, od czasu do czasu, poznać, że żyjemy jeszcze“...

To zaostrzenie, nigdy zaś ulgę jakowąś, zawdzięczał Confalonieri i wspólnicy jego niedoli, jedynie specjalnej opiece, jaką rozpostarł nad nimi sam monarcha.

Cesarz Franciszek miał w gabinecie swoim plan kazamat spielbergskich, tak samo, jak car Mikołaj rysunek więzienia Dekabrystów. Codziennie raporty donosiły mu o każdym szczególe życia więźniów.

Za jego rozkazem odcięto ich w tak nieludzki sposób od świata.

Nawet samodzięrzca rosyjski nie zabronił nienawistnym sobie „królobójcom“, zesłanym na najdalej kraniec Sybiru, otrzymywać listów do rodziny. Franciszek nie dopuścił do ciemnic Spielbergu żadnego słowa, żadnej pociechy.

„Pyta miłość synowska — mówi Confalonieri — o życie starych rodziców? Prawo na to pozwala. Osoba, do której się zwraca, nie odpowiedzieć nie może, ale „Zrobi się raport” mówią. Rok mija, ponawiasz prośbę, ta sama odpowiedź. Mijają dwa lata, trzy, cztery, dziesięć, jeśli cierpliwości proszącemu starczy, dziesięć razy pytanie ponowi, dziesięć razy tę samą otrzyma odpowiedź, wiadomości jednak czekać będzie na próżno *)”.

Odwolywanie się do cesarza z każdym, najbłahszym drobiazgiem

*) Teraz, już po upadku Austrii, znaleźli czescy badacze w archiwum rządowym w Bernie Morawskim, listy nierozpieczętowane, pisane do więźniów spielbergskich, stosy rozdierających listów.

byłoby śmieszne, gdyby nie miało czasem następstw okropnych.

Kiedy Maroncellemu, młodemu przyjacielowi Silvia Pellico, zrobił się wrzód na nodze, czekano tak długo ze zdjęciem kajdan na decyzję cesarską, aż przyszła gangrena. Następnie czekano „Najwyższego zezwolenia” na amputację chorej nogi, a gangrena szła codzień wyżej. Po operacji, dokonanej w barbarzyński, prymitywny sposób przez starego golibrodę, gubernator, wzruszony litością, pozwolił „prowizorycznie” dawać choremu lepszą strawę. Cesarz pozwolenie to cofnął i biedny kaleka zapadł na szkorbut.

Rzecz poprostu nie do wiary: Jęgo Apostolska Mość sam regulował wikt, a raczej głodzenie nieszczęśników.

To mordowanie ludzi odbywało się w sposób zupełnie systematyczny i legalny. „Dodawano strawy”, ale tak jak u Bazylianów w Wilnie:

Dość było taką strawą w pokoju zakadzić, Ażeby myszy wytruć i świerszcze wygładzić.

Gdy aresztant przełknąć jej nie mógł, lekarz zapisywał mu, z łaski, wikt szpitalny, lepszy nieco, ale tak skąpy, że faktycznie więźniowie umierali z głodu. Zgasł Oroboni z cichą rezygnacją męczennika, skonał Villa, człowiek choć fizycznie silny jak Herkules, słabszy moralnie, napełniając więzienie rozdierającymi skargami.

Umierającym już, cesarz pozwalał dać jeść do syta, wtedy gdy żołądek osłabiony nie był zdolny do przyjęcia niczego.

(c. d. n.).

K. Bielańska.

15) CEL I ZADANIA PEDOLOGJI

(D o k o Ń c z e n i e)

I w tem właśnie miejscu ma rację Rousseau, twierdząc, że wskutek nierozsądku wychowawców z trzech powyżej wyszczególnionych momentów występuje drugi tylko: właściwe kłamstwo. „Gdyby element groźby i strachu mniej panował w wychowaniu, mniej byłoby kłamstw dziecięcych. Po co — powiada on — miałyby dziecko twoje, wychowane systemem szczerości i swobody, okłamać cię? Co miałyby przed tobą do ukrycia? Nie łajesz go, nie karzesz, nie żądasz od niego niczego takiego, czego nie mogłoby wykonać — dlaczego więc nie miałyby ono być w stosunku do ciebie tak samo szczerem, jak w stosunku do swoich towarzyszy?”

Kto zatem chce ustrzec dziecko swoje od kłamstwa z obawy przed karą, niech usunie z wychowania moment strachu. Gdyby jednak, mimo to, okazać się miało, że dziecko kłamie, musi wychowawca dać dowód subtelności i raczej działać serdecznością niż gniewem, aby nie zachwiać zaufania dziecka.

Jedynie świadome, uporczywe i celowe kłamstwo zwalczać należy bezwzględnie. Najlepszą, a właściwie jedyną taktyką, jakiej trzymać się przy tem należy, jest taktyka zapobiegawcza. Najlepszym zaś środkiem zapobiegawczym jest dobry przykład, dawany przez rodziców i wychowawców.

Powtarzanie — jak to bywa zwyczaj — przez matkę: „byle by się ojciec nie dowiedział”, uprzejme, serdeczne przyjmowanie osób, o których przed chwilą wyrażano się w obecności dziecka, jako o nudziarzach, albo i gorzej, podawanie w tramwaju

albo w wagonie kolejowym niższego wieku dziecka dla zaoszczędzenia pieniędzy i t. p. momenty nie są podłożem, na którym wzrośnie i rozwinie się w dziecku kwiat prawdomówności. Pierwszym zatem obowiązkiem wychowawców, jeśli chcą nie dopuścić do kłamstwa u dzieci, jest przestrzeganie skrupulatnie ścisłej prawdy, zaś w razie konieczności uciekania się do t. zw. kłamstwa konwencjonalnego, trzymać dziecko możliwie jak najdalej od tego.

Unikać też należy gorliwego wypytywania dzieci, nadmiernie troskliwego śledzenia każdego ich kroku. Im więcej pozostawimy dziecku swobody, im mniej będziemy wypytywali o każdy szczegół jego przeżyć, tem mniej będzie ono kłamało. Przedewszystkiem jednak, do szczepienia i pielęgnowania prawdomówności konieczny jest stosunek rodziców, względnie wychowawców do dzieci, polegający na bezwarunkowym zaufaniu i szczerości.

Jeśli jednak i przy takim stosunku popełni dziecko świadome i celowe kłamstwo, należy okazać mu, jak bardzo nas fakt ten przeraził, zmartwił i zaniepokoił, nigdy zaś reagować na takie wykroczenie bezpośrednią karą, która utwierdziłaby tylko dziecko w przeświadczeniu, że należy trwać w kłamstwie, aby się od kary wywinąć. Wpływać należy czynami, przykładem własnym, i tą drogą rozbudzać w dziecku pojęcie naturalne o obowiązku prawdomówności. Nigdy wszakże kazaniem, które tylko znudzą je i zubożnią na wszelkie nasze wpływy. Znałam osobiście chłopca, na którego doskonale wpłynęło wytłumaczenie mu prostego fak-

tu, że kłamca jest tchórzem, który z obawy kary tai lub fałszuje prawdę i niezasłużenie zdobywa tą drogą — na krótko zresztą — zaufanie otoczenia. Ambicja chłopca nie zniosła pomawiania go o tchórzostwo; moment ten uleczył go zupełnie z wady kłamstwa.

Faktem też jest, że okazywaniem dziecku — nawet zasłużonemu — braku zaufania, pobudzamy je do kłamania w dalszym ciągu. Częstokroć to samo dziecko, które kłamie wobec osoby, odnoszącej się doń nieufnie, powie szczerą prawdę temu, kto zwraca się do niego z pełnią ufności. Wszelkie natomiast t. zw. leki wychowawcze, jak: przemowy, niepamięć, a nade wszystko kary cielesne zupełnie są bezcelowe, często raczej szkodliwe — w walce z kłamstwem.

Pozytywne przyzwyczajanie do prawdomówności, okazywanie przerażenia i poważnego zasmucenia wobec popełnionego przez dziecko kłamstwa, a nade wszystko dobry przykład otoczenia jest, powtarzamy z naciskiem, jedyną drogą wyrobienia w dziecku trwałego poczucia moralnego, uświadamiającego mu całą ohydę kłamstwa i tem samem najskuteczniej strzegącego je przed fatalną tą wadą.

Pamiętajmy jednak, że należy pilnie analizować i odróżniać kłamstwo pozorne od kłamstwa rzeczywistego, aby niesłusznem podejrzywaniem i oskarżeniem nie nasunąć dziecku pojęcia o możliwości celowego i świadomego tajenia prawdy, zanim jeszcze pojęcie to powstać zdołało w jego umyśle. *Primum non nocere!*

Emilia Tecka.



MIĘDZYNARODOWY KONGRES W CHRYSTJANII.

W jednym z wakacyjnych numerów „Bluszczu” podałam wzmiankę o mającym się odbyć w Chrystjanji Kongresie Międzynarodowym Kobiet z uniwersyteckim wykształceniem. Obecnie daję krótkie streszczenie głównych przemówień uczestniczek tego Zjazdu, poruszających bardzo ciekawe problemy życiowe.

Pierwszy referat wygłosiła prof. Spurgeon z uniwersytetu londyńskiego, dotychczasowa prezeska federacji. Mówiła ona o konieczności stworzenia większej ilości placówek pracy dla kobiet w różnych gałęziach przemysłu, handlu i techniki. Dotychczasowy ogólny u kobiet brak zainteresowania kwestiami praktyczno życiowymi nie da się poprostu dłużej pogodzić z obowiązkami obywatelki kraju. Wielki nacisk kładzie referentka na wpływ atmosfery domu rodzinnego, która odegrać może dużą rolę w rozbudzeniu u młodych dziewcząt zainteresowania temi kwestiami. Gdyby ojcowie rodzin—mówi prof. Spurgeon, omawiali ze swemi córkami problemy społeczno-gospodarcze, zamiast ograniczać się jedynie do jałowych ogólników i westchnień nad ogólnym stanem gospodarki krajowej i t. d.—gdyby zrozumieli konieczność traktowania córki na równi z synem, jako mających jednakowe prawa, a więc i obowiązki względem społeczeństwa—wiele rzeczy zmieniłoby się na lepsze. To samo da się powiedzieć i o zrozumieniu konieczności wykształcenia zawodowego dla kobiet. Ten sam ojciec, który wyteża wszystkie siły, aby dać synowi fachowe wykształcenie, nie zastanawia się nad potrzebą takiegoż przygotowania dla córki, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że wobec zmienionych warunków ekonomicznych będzie ona musiała pracować samodzielnie na swe utrzymanie.

Lady Rhonda, dyrektorka wielkich kopalni węgla w Walji, mówiła o udziale kobiet angielskich w kierownictwie wielu poważnych przedsiębiorstw przemysłowych, wykazując, że i na takich stanowiskach, dostępnych, jak sądzono do niedawna, mężczyznom tylko, kobieta może wykazać wiele energii, umiejętności organizacyjnej i fachowości, nie zatracając przytem zupełnie kobiecych cech swego charakteru. Ogólną wadą kobiet jest pewna nieśmiałość i rzecz można — wstydlivość w traktowaniu

kwestyj finansowych; powoduje to często cały szereg przesądów w tej dziedzinie, przesądów, których mężczyźni wyzbyli się już oddawna. Zawodowe wykształcenie i praktyczny udział w życiu finansowym usunie—zdaniem referentki — bardzo prędko te niepotrzebne naleciałości.

Ogólne zainteresowanie wzbudził referat pani Corbett — Ashby, przewodniczącej Międzynarodowego Związku Równouprawnienia, poruszający sprawę udziału kobiet w życiu politycznym. Zwalczała ona ogólnie rozpowszechnione mniemanie, jakoby polityka nie interesowała wcale ogółu kobiet. W tym samym stopniu, jak harmonija i ekonomja życia rodzinnego wymaga współpracy kobiety i mężczyzny, wymaga tego i interes państwa, tej niezmiernie skomplikowanej maszyny, mogącej funkcjonować sprawnie tylko pod warunkiem zużytkowania wszystkich sił w jego obręb wchodzących. Bezpodstawowym jest zarzut, jakoby udział w sprawach politycznych mógł wpłynąć niekorzystnie na zmianę charakteru i poglądów moralnych kobiety; przeciwnie wejście kobiet do tej tak ważnej dziedziny życia może tylko oczyścić atmosferę i przyczynić się do ogólnego dobra państwa.

Panna Tuke z Kollegium Bedfordzkiego w Londynie poruszyła kwestję ustalenia międzynarodowego języka, w którym miałyby się odbywać nadal obrady Federacji. Obrano specjalną podkomisję do zajęcia się tą sprawą.

Pierwszy dzień obrad Zjazdu zaznaczył się pięknym czynem złożenia przez delegatki amerykańskie kwoty 1000 dolarów na zapoczątkowanie stałego funduszu stypendjalnego dla 30 studentek, pragnących się kształcić w uczelniach zagranicznych. Za ich przykładem poszły i delegatki innych narodów, składając również większe sumy na ten sam cel.

Międzynarodowa Federacja Kobiet z Uniwersyteckim wykształceniem, egzystująca od czterech lat, liczy już obecnie przeszło 27.000 członkiń. W skład jej wchodzi 20 grup narodowych. Ostatnio przyjętymi członkami były Irlandja i Szwajcarja. Przedstawicielki narodów północnych, zwłaszcza Danji, ociagały się czas jakiś z przystąpieniem do tego związku ściśle kobiecego, gdyż w państwach skandynawskich kobiety przyjmują udział we wszystkich pracach naukowych na równi z mężczyznami, wskutek czego nie istnieją tam oddzielne stowarzyszenia kobiece.

SENSACYJNY WYNALAZEK.

Pisma paryskie donoszą o sensacyjnym wynalazku, dokonany jakoby przez dwie młode lekarki, panie Cleuse i Perlis. Wynalazły one mianowicie pewien nieszkodliwy dla zdrowia środek nasenny, przy zastosowaniu którego daje się całkowicie uni-

knąć bólów porodowych. Lekarki te wypraktykowały już podobno od całego szeregu lat swój środek na pacjentkach pewnej lecznicy paryskiej i miały otrzymać świetne wyniki. Rodzące po dokonaniu iniekcji zaskórnej tego narkotyku zapada w sen, podczas którego wszystkie organy funkcjonują najzupełniej prawidłowo i poród odbywa się normalnie w dalszym ciągu, oczywiście bez świadomości chorej, a więc i bez cierpienia.

Jeśli rzeczywiście wynalazek ten okaże się takim, jak go opisują pisma, ro lekarki, które go dokonały, uzyskają sobie niechybnie wiekopomną sławę, jako jeden z największych dobroczyńców ludzkości. Z. B.

W Y C H O W A N I E FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIET

KILKA UWAG O LEKKIEJ ATLETYCE DLA KOBIET.

(Dokończenie)

Skok lekkoatletyczny różni się tem od gimnastycznego, że jest bardziej dowolny. Przy gimnastycznym chodzi nam przy przelocie nad przeszkodą o zachowanie prawidłowej, systematycznej postawy. Położenie tułowia musi być pionowe, nogi zgięte, kolana wzniesione jak najwyżej, prawidłowy wymach obu rąk.

Sportowo skakać można dowolnie, zależy to już od zwyczaju skaczącego. Zwykle dobiega się do przeszkody trochę ukośnie przy odbijaniu się lewą nogą od strony prawej. Odbijając nogą lewą wyrzuca się z całej siły w górę nogę prawą i z odpowiednim wymachem rąk pociągając za nią całe ciało. Zwykle przy podskoku skaczący obraca się prawie dookoła swej osi i spada na tę nogę najpierw, którą się odbił.

Przy skoku w wyż chodzi tylko o to, aby poprzeczki nie stracić lub nie zaczepić, spadek sam jest już obojętny, mówimy tylko o tyle, by nie nadwodził nóg i nie wstrząsnął zbyt mocno ciała, musi być zatem miękki, estetyczny przytem.

Dla pań, które mało skakały i owego indywidualnego sposobu skakania nie mają, odpowiednim bardzo jest tak zwany szkocki skok, boczny, który polega na wykonaniu w powietrzu nożyc nogami sztywno wyprostowanymi w kolanach, tym sposobem przerzucamy się przez przeszkodę bokiem, najpierw jedną nogą, a potem nogą odbijającą! Spadamy na nogę pierwszą.

Skok ten daje osiągnąć większą wysokość niż gimnastyczny, jest przytem wprost przesłizny i niesłychanie miękko można go wykonać, nie ma nic sztywności.

Pięknym połączeniem skoku z biegiem jest bieg z płotkami. Polega on na przesadzeniu 10 przeszkód wysokości przeszło metra, rozstawionych co 9 metrów, w jak naj- szybszym czasie.

Przy biegu z płotkami, podstawą powodzenia jest umieć tak wymierzyć długość i ilość kroków, a raczej susów między przeszkodami, żeby odbicie wypadło w odpowiednim punkcie i aby skakać nie zaczepiając o płotek, tak jednak nisko nad nim, by nie tracić czasu na niepotrzebne wznoszenie się w górę. Aby tak biec i skakać, trzeba ogromnego opanowania techniki biegu i skoku, takiego który pozwoli prawie automatycznie, prawie bez namysłu przesadzać przeszkodę po przeszkodzie.

Nie mniej ważne miejsce w programie zawodów lekkoatletycznych (pięć i dziesięcioboi) zajmują rzuty.

Rzut dyskiem (krążkiem), oszczepem, pchnięcie kulą. Opisanie skomplikowanego bardzo szeregu ruchów niezbędnych do wykonania każdego z tych rzutów przekroczyłoby za bardzo cel i ramy mojej pogawędki. Zaznaczyć tylko chcę, że ruchy te wymagają nie tylko jakby się здаwać mogło siły ramienia, przeciwnie ciało całe, nie wyłączając nóg, musi być przy nich czynne, gdyż rzutowi czy pchnięciu towarzyszy zawsze obrót, skręt całego tułowia lub podskok, niezbędny do nadania ciskanemu przedmiotowi rozmachu silnego.

Dla dziewcząt, które często wprost nie umieją użyć sił własnych mięśni, dobrem jest zaprawianie się do rzutów, rzutami choćby piłką cięższą. Kilka prób dać tu może nadspodziewane wyniki, gdy młoda zawodniczka wyczuje sama, na czym polega umiejętność rzucania.

Przy rzutach właściwych stosować się trzeba do przepisanych, wyprobowanych zasad, określających sposób trzymania przedmiotu rzucanego, kierunek jaki należy mu nadać i wreszcie sposób zapewnienia jak najdalejszego i celnego rzutu. To jednak bez odpowiedniego kierunku, choćby kto jak najdokładniej znał teorię, trudne jest do osiągnięcia, bo rzucając nie widzi się samemu swoich błędów.

Aby dowiedzieć się, co można z siebie wydobyć, wystarczy w lekkiej atletyce 8—10 tygodni treningu. Kto przez ten czas nie dojdzie do pożądanego wyniku przy sumiennej pracy, temu widać nie sążone było zostać lekkim atletą.

Trening, czyli zaprawianie się, musi być prowadzone bardzo stopniowo, rozważnie, początkowo po kilka rzutów czy skoków dziennie, w biegach nauka startowania, przebieganie dystansu biegzonego powolnym tempem lub bieganie na krótsze tylko odległości.

Przestrzec tu muszę przed dyktanckim traktowaniem tego sportu, gdyż wtedy może być niebezpiecznym,

i przypomnieć raz jeszcze, że tylko pod kierunkiem ludzi fachowych dojść można bez szkody dla zdrowia, do wysokich wyników.

I. Fabrycowa

ZAMKNIĘCIE PRZYSTANI WIOŚLAREK.

19-X o godz. 11 rano odbyło się zamknięcie przystani Warszawskiego Klubu Wioślarek. Z okazji zamknięcia wioślarki, które brały najżywszy udział w życiu Klubu zostały odznaczone żetonami.

Żetony turystyczne dostają te z członkiń, które brały udział w dłuższych wycieczkach ostatniego sezonu. Prócz tego otrzymują je te, które podczas mniejszych przejażdżek łodzią przejechały w sumie więcej niż 600 km.

W sezonie zimowym sympatyczny ten i ożywiony Klub urządza wspólną gimnastykę dla swoich członkiń.

NA MARGINESACH KSIĄŻKI
MARJANA DĄBROWSKIEGO:

„RÓŻANIEC ŻYCIA I ŚMIERCI”*)

Jest to jedna z tych książek, do których nie można przystępować z zamierzeniami t. zw. krytyki literackiej, — podobnie jak nie do pomyślenia jest zastanawianie się nad formą listu, donoszącego o śmierci ojca.

Treść bowiem, żywa, bliska i bolesna wypełnia sobą jej stronicę i przedewszystkiem absorbuje czytelnika.

Treść — to walki legionowe — czyni i ludzie — fakty i sylwetki ludzkie na tle ich śmiertelnie ciężkiego, śmiercią zadokumentowanego trudu paru lat, niekiedy miesięcy paru.

Są tu stronicę, pisane krótko, jak raporty. Znać, że pisał je w pośpiechu żołnierz, zdający rzeczowo, sucho, sztywno, bez wyboru, sprawę z tego, co było. Stronice te nie nęcą żadnym czarem literackim, — są nawet czasem monotonne i zawierają szczegóły „dokumentowo” ważne, lecz dla zwykłego czytelnika niejako wybladłe i bez znaczenia.

Są inne — i tych jest dużo więcej — gdzie może w chwili skupienia i wypoczynku autor daje syntetyczne, soczyste, obrazowe opisy marszów (Rozdz. IV: „w Boju i na Biwaku”) okopów, ognisk żołnierskich, — gdzie serdecznie i miękko wyczuwa tragiczne, milczące cierpienie człowieka.

Do pierwszych trzeba włąć własną twórczość uczuciową; drugie wiążą uwagę, sugestionują, narzucają same okrutny obraz wojny i jej udręczeń codziennych, nieznośnych.

Im dalej posuwamy się stronicami książki, tem głębiej wchodzimy w dzieje martyrologii tych polskich żołnierzy, których całopalenie i ofiara były prawie zupełnie niezrozumiane i niewidziane przez naród.

*) Opowiadania z cyklu „Żołnierz i Brygady,” zebrane na dziesięciolecie czynu legionowego. Zamość, Zygm. Pomarański i s-ka.

Autor z pietyzmem i tym specyficznym polskim sentymentem pisze o Aleksandrze Sulkiwiczu, Sternszussie, Tad. Żulińskim, A. Fleszarze i Gibalskim. Nie są to ich biografje. Są to raczej opowieści o tem, jak do legionów przyszli, składając dobrowolną przysięgę na ofiarę z życia; jak to znalazł się w ich szeregach, wypróbowany w walce podziemnej, niemłody już — Sulkiwicz — rycerz niezłomny, — jak w wieczór lipcowy zjawił się nad Wyżnianką Dr. Sternszuss, „człowiek kultury, wielkiego serca i silny umysłem;” jak w sierpniu przybył z Warszawy dr. Tadeusz Żuliński i zmarł 5-go listopada; jak stanęli do walki Fleszar i Gibalski.

I mówi autor o śmierci każdego z nich, — o przecuciach Sulkiwicza; o błędzącej kuli, która uderzyła w czoło Sternszussa; o umierającym z urlopem w kieszeni, spragnionym domu, Żulińskim, — o śmierci Białego Zawiszy — Fleszara, o pogrzebie niedostępnego kulom Gibalskiego.

* * *

Książka ta jest okrutna. Żadnym życiem, wplecionym w wir zabiegów i „prac” własnych i ogólnych w „odradzającym” się kraju, każę ona spojrzeć w samo dno spraw, od których się odwracamy. Każę wspominać. Każę przeżywać ponownie te czasy, kiedy czterej jeźdźcy przebiegali świat i tententem złowieszczym napełniali Polskę. — Każę patrzeć w oczy śmierci — nam, którzy jej uniknęliśmy, — nam, którzy o niej tak mało myśleliśmy.

Czytamy o tych, którym towarzyszyliśmy w każdej chwili, jak cień ich własny i poznajemy codzienną jej grę; tu jest — tu go nie ma. — Przed chwilą był — ten bliski, ten drogi przyjaciel. I już — stała się rzecz — tak nieskończenie niezrozumiała, — lecz tam, na polach bitwy tak prosta, codzienna, „raportowo” zwykła.

Na polach bitew tej wojny, która zdawała się rozgrywać pomiędzy maszynami, pomiędzy posiewami kul, zasypujących pola, — a niosła śmierć, śmierć...

* * *

A jednak nigdy dość tych wspomnień. Mam wrażenie, że my, ludzie z „tyłów,” w których godziły tylko wtórne, przykre, lecz zawsze omotane bodaj w jakiś łachman — ostrza wojny, nie mamy nawet w przybliżeniu pojęcia o nadludzkim trudzie żołnierza. Tam dopiero psychika człowieka przechodzi do słownie przez ogień próby, tam muszą dokonywać się w niej nieobliczalne przełomy.

O tej wczorajszej epopei polskiej czytać winni wszyscy, — czytałyby winna polska młodzież, ucząc się męstwa i cnoty.

* * *

W szeregu krótkich opowiadań, ujętych w siedem rozdziałów, przesuwają się w książce Dąbrowskiego smutek i bohaterstwo, pojawiają się znani dowódcy i bezimienni żołnierze, w których piersi bije dumne, udręczone, tęskniące serce.

Na polojowisku znajduje autor list dzieci z rysunkiem kwitnącej jabłoni, — list do ojca, który już nie żyje. Wśród kul, pomiędzy jedną bitwą, a drugą ordynans Brzezinka rozwija swój niepospolity talent malarski. Na Podlasiu kapelan cofającego się wojska polskiego chrzci dwoje dzieci, których ojca w godzinę potem porabiają kozacy...

„Różaniec życia i śmierci.”

N. Samotybnowa

LIGA OBRONY MORALNOŚCI

Z Ligi obrony moralności otrzymujemy artykuł, który poniżej zamieszczamy. (Przyp. Red.)

Z inicjatywy Sekcji obrony religii i moralności przy Tow. oświatowem Piotra Skargi, zawiązująca się u nas Liga Obrony Moralnej wchodzi w okres ożywionej działalności.

Obniżenie poziomu moralnego w społeczeństwie wyraźnie bije w oczy.

Wręcz dzikiego pochodzenia tańce, importowane ze spelunk rozpusty i znikczemnienia w życie towarzyskie narodów cywilizacji, chaos w przewartościowaniu wszelkich wartości, w odwracaniu ich na nice, moda strojów kobiecych, biorąca rozbrat z elementarnymi wymogami przyzwoitości, a obok tego całe stosy pornografii — w piśmach, widowiskach scenicznych, wystawianiu na pokaz publiczny cynicznych obrazów znieprawienia moralnego i szeroka produkcja sensacji w drukowanym słowie, to poszczególne objawy zdżyczenia moralnego.

Szeroka, solidarna, we wszystkich warstwach narodu jednolita, dobrze uświadomiona akcja ratunkowa społeczeństwa polskiego — ku sanacji moralnej przeciwko tej zginiźnie, obowiązuje już ze wszech miar i względów, a nagle.

Zwarty, wszystkie związki społeczne obejmujący, czyn ratunkowy w tym kierunku uczyni swoje, nie wątpimy.

Epoka powojenna znaczy się zresztą wszędzie upadkiem życia moralnego. Ale temu stanowi rzeczy przeciwdziałać powinien w pewnej linii obronnej świat kobiecy przede wszystkim.

W Polsce w pierwszych szeregach stoi kobieta — obywatelka. Jakoż notujemy już obecność naszych kobiet na posterunkach obrony życia moralnego. Mamy z jej inicjatywy powstające związki etyczne, a przed paroma laty dały one początek akcji reformowania stroju kobiecego w szlachetnie polskim stylu. Niestety, sparaliżowały to w zarodku czynniki, biorące tę doniosłą sprawę, jak wszędzie zresztą, z kupieckiego stanowiska. Zmienność mody to warunek bławatnego handlu i pomysłowości rynku krawieckiego. Ergo kobieta niechże jak najdłużej będzie dla tych sfer pomysłowych — dogodnym manekinem!

I będzie, póki sama manekinem tym być nie zechce, zrozumiałszy, że obok interesów kupiectwa, ma ona w swej bierności zmianym eksperymentom mody, służyć jeszcze i celom moralnego bezrządu w ręku jego szatanów znieprawienia. Ta to akcja obronna ma już dziś za sobą świat myślących kobiet.

Z Czytelniczkami „Bluszczu” dzielimy się „Odezwą do rozsądnych kobiet” z ramienia Międzynarodowego Komitetu Kobiet, podpisanego przez pp. de Novillat (Francja), hr. de Walterskirchen (Wiedeń) i dr. Kazimierę Proczkównę (Warszawa) z adresem Sekretariatu międzynarodowego P'ika w Szwajcarii.

Brzmi ten apel następująco:

Szanowne Panie! Czy jesteście zadowolone z cywilizacji, kultury i sposobu życia narodów różnych naszych czasów? Czy nie uważacie, że należałoby zmienić tam wiele? Czy zdajecie sobie sprawę z wielkiej odpowiedzialności kobiety i ze słusznosci twierdzenia, że społeczeństwo jest zawsze takim, jakim jest kobieta? Czy nowożytna kobieta zdaje sobie sprawę z doniosłości swych obowiązków społecznych?

Trzeba przyznać, że w naszych czasach jest stosunkowo mało takich kobiet, które pędzą żywot godny człowieka. Próżność mody

i różne drobiazgi odwracają ich uwagę od wzniosłych, szlachetnych i pożytecznych zagadnień.

Śmieszność ubioru, pretensjonalny wygląd i jakaś dziecinna lekkomyślność, wszystko to pozbawia kobietę należnego Jej szacunku, przez co nie może ona wywierać swego wpływu na bieg rzeczy. Jeśli nie chcemy, aby ludzkość upadła, trzeba koniecznie uszlachetnić kobietę, podnosząc jej poziom umysłowy i obywatelski.

Aby ten cel osiągnąć, trzeba, aby zerwała ona z niewolnictwem mody nadewszystko. Nieustanna zmiana mód poniża kobietę z krzywdą całej ludzkości. Rzecz dziwna, z jaką uległością kobiet krzewią się dziś niedorzeczności mody.

Po naradzie z wielu związkami kobietami, Kom. Międzynarodowy Kobiet pragnie wprowadzić ubiór jednostajny możliwie, a zarazem taki, któryby posłużył przez lat kilka jako wzór dla wszystkich krajów.

Za pomocą tej odezwy otwieramy konkurs na 4 rodzaje ubiorów odpowiednich dla wszystkich pań, z uwzględnieniem różnicy figury, wzrostu, a także rodzaju zajęcia.

1. Suknia wygodna, higieniczna, strojna i przyzwoita. Ta suknia może być bez kołnierzyka, ale z dłuższymi rękawami, niezbyt długa, ani krótka, dość obszerna, aby łatwo było w niej się ruszać.

2. Kostium skromny, higieniczny, wygodny, a przytem wykwintny.

3. Spódnica z bluzką, również odpowiadająca tym wymaganiom.

4. Mundury praktyczne, estetyczne dla pracownic biurowych oraz dla przełożonych i nauczycieli szkół, które mają świecić przykładem swym uczniom. Taki mundur ma być ubraniem, podnoszącym godność kobietę. Przestanie być ona lalką i manekinem.

Jeżeli Sz. Panie macie jakie szczęśliwe pomysły w tej dziedzinie, chciejcie je przedłożyć naszemu Głównemu Sekretarjatu. Rysunki lub druki wzorów też byłyby tu pożądane.

Po opracowaniu tego materiału otrzymacie Panie wzory sukien przez nas obmyślane, a mamy nadzieję, że każda kulturalna i rozsądna kobieta zastosuje się do niej z radością.

Nadmieniamy, że wskazany ze wszech miar mundur dla biuralistek znalazł już swe zastosowanie w Bułgarii.

Na naszym gruncie ta reforma ze stanowiska obywatelskiego wysoce jest pożądana.

M. Cz. Przewóska



Z ZACHĘTY

Październik

Zwiedzając obecną wystawę Zachęty, po półrocznej w niej niebytności, doznaje się wrażenia, że cofnęliśmy się o co najmniej dwadzieścia lat wstecz i, że urządzono tu jakiś pokaz retrospektywny.

Są tu cenione i zasłużone nazwiska, są prace, niepozbawione wartości, lecz wystawa jako całość, mogłaby mieć znaczenie tylko dla badacza malarstwa z końca XIX w. Może-

my cenić artystów, którzy doszedłszy do pełnego mistrzostwa, stanęli i powtarzają siebie, — należy zarezerwować dla nich miejsce w „pałacu” sztuki, lecz nie można stwarzać pozoru, że na nich kończy się współczesna twórczość plastyczna.

W całej tej sprawie, czy awanturze, która od pół roku zachodzi na terenie „Zachęty,” zatrzymaliśmy się na martwym punkcie. Staje się to nużące i nieznośne. Widz doznaje uczucia niesmaku i fałszu. I przede wszystkim odczuwa brak: brak oddechu, powietrza, pędu, jakie sugeruje zawsze to, co się rozwija, co pełne jest świeżości początku i całe skąpane w radosnym szczęściu dawania światu od nowa odczutyh wrażeń.

Chcemy sztuki młodej. Chcemy, by miała tu w Zachęcie należne sobie miejsce gospodarza, by przestała się tulać po salkach i zakamarkach Warszawy, mało dostępną i niewidoczną.

Anormalność i niezdrowie całej sytuacji bije w oczy. Skoczylas, Borowski, Slendziński, Zak, Stryjeńska, szkoła sztuki podhalańskiej i wielu innych są niedostępni „szerokiemu ogółowi,” który winien poznawać strzelającą oryginalnie i wysoko twórczość polską. „Coś,” czy „ktos” bardzo niemili, skąpy i ciasny nakłada surdinkę na życie nasze duchowe i hamuje jego lot.

Lecz właśnie szerokie otwarcie wrot Zachęty dla sztuki nowej jest obowiązkiem narodowym.

Tymczasem — dziś — w Zachęcie jest szaro — pomimo bardzo kolorowego ujęcia Polski przez Br. Kopczyńskiego. Artysta ten, widziany po raz pierwszy przed kilku laty, wydał mi się soczystym, barwnym i interesującym. Obecnie sala jego nie czyni korzystnego, w porównaniu z dawnym, wrażenia. Wybiera on fragmenty Polski zaiste bardzo piękne (wrażenie Janosika na Orawie; Kościółek na Spiszu (napisano mylnie „Spiz”); Chrystus u fary w Chełmie i t. d.), lecz nie wczuwa się w odrębną fizjognomję każdego z nich, czyni je zbyt jednakowymi, w jeden sposób ujętymi — technicznie łatwo, biegle, po wirtuozowski. Jest to już maniera: artysta powtarza się w barwie (ten sam ciemny błękit, ostra zieleność, zieleność błękitnawa), w traktowniu cegły, czy kamienia, drzew, murów, domów, ulic, efektów śniegu.

Szczerszą o wiele i pełną uczuciowego skupienia jest cicha mowa obrazków Marjana Trzebińskiego, które w sposób bezpretensjonalny i subtelny pokazują Polskę, zachowując indywidualność rzeczy. Delikatna ich technika ma w sobie wiele ze sztychu.

Na pośmiertnej wystawie Kaz. Mordasewicza widzimy, między innemi, dwa bardzo piękne portrety Żeromskiego i Świętochowskiego, w których wydobyto przy pomocy świetnych szczegółów — duchową fizjognomję pierwowzorów.

Józef Doskowski daje szereg obrazów o kubistyczno-formistycznych tendencjach. Te, z których można coś zrozumieć, utrzymane w prostych linjach, twardych brytach i ostrych kątach budzą wrażenie sztywności i silnego, stalowego gestu (Hasło, Walka, Modlitwa). Postacie, które się po chwili wpatrywania widzi, są jakby odcięte i całe zwarte w wewnętrznym napięciu.

Obrazy te, „nowe,” mają zapewne służyć „Zachęcie” za tarczę wobec zarzutów, że się zamyka przed nowymi kierunkami.

O obrazach innych artystów, których jest jeszcze wielu, nie mam nic do powiedzenia. Mówiono i pisano już o nich niejednokrotnie. — Jedna tylko nasuwa się uwaga: wystawa retrospektywna stała, na której widzimy Gierymskich, Krzyżanowskiego, Wyspiańskiego, Matejkę, Simmlera i wielu innych nie traci nigdy na porównaniu, — obecnie zaś jest najbardziej zajmującym miejscem w Zachęcie.

N. M. Sam-

ZJAZD NAUCZYCIELSKI W WOŁOŻYNIE

W Wołożynie (woj. Nowogródzkie) odbył się niedawno Zjazd nauczycielstwa szkół powszechnych z pow. wołożyńskiego. Zjazd był liczny, gdyż uczestników było przeszło 100.

Głównym tematem obrad była sprawa walki z alkoholizmem, stającym się coraz większą klęską na Kresach, zagrażającą sprawie państwowości polskiej, omawiano również sprawy oświaty pozaszkolnej i zawodowo-organizacyjne.

Każdy Zjazd nauczycielski jest wypadkiem doniosłym — gdyż są to obrady ludzi, niosących oświaty kaganiec w mroki naszej wsi, lecz taki Zjazd na Kresach i to tak zapadłych jak pow. wołożyński — nabiera tem większego znaczenia. Znaczenie Zjazdu wołożyńskiego szczególnie silnie uwydatniły przebieg, poziom i ton obrad, których głównym motywem była troska o dobro powszechne. Z uczuciem prawdziwej radości słuchało się tych obrad nad sposobami walki z pijaństwem, nad sposobami szerzenia oświaty i uobywatelnienia ludu. I rzecz znamienita, mimo że obradowali ludzie, znajdujący się wprost w fatalnych warunkach materialnych (XI kategoria płac!), pracujący w szkołach, uragających najprymitywniejszym wymogom pedagogiki, częstokroć o głodzie i chłódzie (dosłownie), nie posiadający kąta własnego, ale gnieżdżący się w chatkach włościańskich z łaski (drogo opłacanej) — mimo to wszystko nie słyszało się w ciągu dwudniowych obrad ani jednego słowa narzekawia lub skargi...

I to uderzałoby najsilniej, gdyby nie inny jeszcze objaw znamienity: wielki zapał do spraw ogólnych, dla sprawy narodowej, dla Państwa.

Zapał i poświęcenie!

A teraz słów kilka o wrażeniach gości (było nas trzech: delegat Związku nauczycielstwa Szkół powszechnych, p. Tomczak; delegat Kursów dla dorosłych, p. Frelek — i podpisany jako delegat Gen. Dyrekcji Służby Zdrowia). Trudno opisać radość, gościnność i serdeczność, z jakimi witano i przyjmowano delegatów z Warszawy. Mieliśmy wrażenie, że byliśmy wśród rodziny bliskiej. I dopiero tam zrozumiałem, że w opisach entuzjazmu, z jakim spotykano wszędzie na Kresach — p. Prezydenta, nie było przesady, jeżeli potrafiono okazać tyle uczucia i serdeczności dla zwykłych ludzi ze stolicy.

Nasuwa się myśl, że gdyby kontakt odpowiedzialnych przedstawicieli organizacji społecznych z Kresami był bliższy i stały — działoby się tam lepiej... Nie odczuwanoby tam wówczas tak boleśnie pewnego osamotnienia i zapomnienia... Wymiana myśli, udzielanie autentycznych informacji, naoczne przekonanie się o istotnym stanie rzeczy — więcej znaczy, niż niejedno szumne zarządzenie, powstające niejednokrotnie li tylko na papierze.

Uprzytomnijmy sobie takie fakty: wielu nauczycieli w miasteczkach i wsiach kresowych mieszka w izbie wspólnej z gospodarzami, przedzielonej tylko... firanką. Wiele szkół zeszłej zimy było bez dostatecznego opału i nauczyciel i dzieci musieli ubierać się do

szkoły jak na dwór. Podczas roztopów jeściennych i wiosennych całymi tygodniami chodzi się w obuwiu mokrem, bo na kilka par obuwia do zmiany, brak pieniędzy... I oto ludzie, w takich mniej więcej warunkach żyjący, na Zjeździe w Wołożynie mówili z ogromną radością o możliwości otrzymania z Warszawy jednej z bibliotek im. ś. p. redaktora K. Olchowicza.

Nie podaję rezolucyj Zjazdu, bo nie one stanowią treść istotną prac Zjazdu, przytoczę tylko parę faktów, będących realnymi skutkami obrad: Oto 18 nauczycielek i nauczycieli utworzyło sekcję abstynencką, która ma się zająć organizacją walki z pijaństwem w powiecie, wyrzekając się osobiście całkowicie używania wszelkich napojów alkoholowych, wzywając do udziału w tej akcji wszystkie czynniki społeczne. — W Zjeździe brała udział miejscowa inteligencja i kilku włościan. Włościanie ci również przejęli się sprawą walki z alkoholizmem i postanowili zabrać się do czynnej walki z tą klęską. W Zjeździe wzięły też udział: duchowieństwo katolickie i prawosławne, władze cywilne, szkolne i wojskowe. I tu należy podkreślić objaw niezmiernie dodatni: Komenda miejscowa zwróciła się do organizatorów Zjazdu z prośbą o pomoc fachową w urządzaniu kursów oświatowych dla żołnierzy.

Główną organizatorką Zjazdu była pani Julia Grużewska, niezmordowana, a pełna zapału twórczego działaczka oświatowa na Kresach, pracująca tam od lat wielu za czasów niewoli moskiewskiej.

Ogólne wrażenie jest następujące: Nauczycielstwo szkół na Kresach spełnia wielkie i szczytne swe zadanie w warunkach niesłychanie trudnych, z prawdziwym poświęceniem i zaparciem się. Podobni są oni do rycerstwa dawnego, co piersią własną broniło granic Rzeczypospolitej, bo oni teraz myślą, sercem i pracą swoją granice te utrwalają.

Jan Szymański.

LIST Z PARYŻA

Otóż sezon w pełni. Po wakacjach Paryż obudził się do nowego życia. Oficjalne recepcje i premjery zaczynają się w końcu października, więc czas najwyższy zająć się sprawami toaletowymi.

To też do rzadkości należą panie, któreby tę ważną sprawę lekcewały — przeciwnie większość marzy o tem, jakby to wszystko odświeżyć, coś ładnego wybrać, jakiś model obstałować. Nie należy się zupełnie dziwić tej napozór pustej aktywności w świecie kobiecym. Paryż — to ruch — to gorączka; wszędzie nadmiar roboty, wszędzie napływ bez miary, tak jest — żeby nie zostać w tyle za innymi, trzeba stanowczo się spieszyć.

Czy można dać wiarę, że wielkie domy mód odmawiają już teraz zamówień. Ameryka i inne kraje o dobrej walucie zawczasu wyławiają pomysły naszych wielkich metrów w świecie mody, wobec czego Paryżanka musi przedewszystkiem polegać na własnym guście, jeżeli chce zostać na wysokości zadania, i być

tem, czem zawsze była: szczytem elegancji, dystynkcji i finezji.

Bo trzeba przyznać, że nie jest wcale łatwo dobrze się ubierać. Nie tylko potrzebna jest staranna orientacja i sąd trafny, ale przedewszystkiem znajomość rzeczy polega na wytrawnej rutynie, dzięki której Paryżanka, z pośród tysiąca modeli witryn i żurnalów, potrafi zawsze wybrać coś takiego, co najbardziej harmonizuje z całą jej sylwetką i co nadaje jej zupełnie odrębny szyk — paryski.

Z chaosu przeróżnych pomysłów dobrze byłoby dla lepszej orientacji wyciągnąć jakieś ogólne dane, jakieś wyraźne linje, któremi będziemy się mogli kierować w modzie nadchodzącego sezonu.

A więc Japonja i Dyrektorjat przeważają w tej chwili na polu walki. Tak jest — trzeba zerwać z przeszłością i przyzwyczaić oko do sylwetki kobiecej zgoła innej, niż dotąd, a conajmniej bardzo zmodernizowanej.

Precz ze stanem, bo trudno nazwać stanem linję, przecinającą suknię u kolan. Skądinąd wprowadzenie karczka na wysokości biustu przywołuje na myśl suknie z epoki Dyrektorjatu, i prawdopodobnie przyczyni się powoli do zainaugurowania wysokiego stanu. Wpływ Dyrektorjatu daje się również zauważyć w okryciach. Palta mają kształt długich surdutów zapiętych na przodzie, skrzyżowanych wysoko w formie wyłogów oficera marynarki i rozszerzających się u dołu w kłozową fałdę, lub kontrafałdę. Dookoła szyi, dla zaznaczenia stylu, wiąże się obcisłe, biała jedwabną chustką, przypominającą dawny „Hal-sztuk“. Całość ta z ma'ńkim cylindrem, szerszym u góry niż u dołu, nadaje sylwetce obecnej, wygląd „eleganta“ ze starego sztychu.

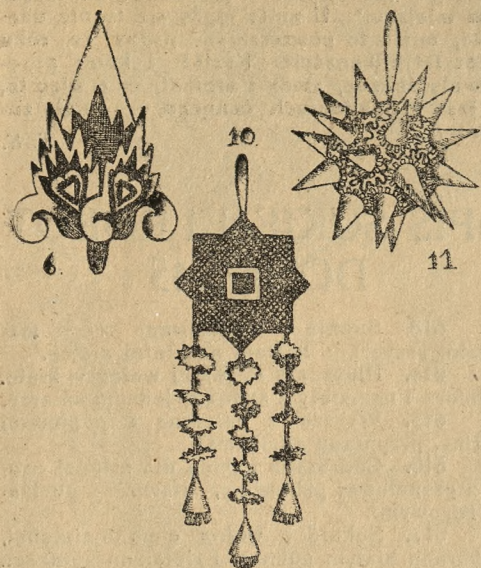
Co do Japonji, to wpływ jej odczuwa się wyraźnie w najrozmaitszych kombinacjach. Odrazu wpadają nam w oczy proste i krótkie saki z czarnego atlasu, z długimi rękawami i małym prostym kołnierzykiem, które u dołu tworzą dwie lub trzy różne w kolorze tiuniki... turkusowe, złote lub koralowe...

Niektóre tak ubrane młodzieńki kobiety, o czarnych, błyszczących i gładkich włosach, prosto obciętych przedziwnie podobne są do „kuli“ japońskich, przesuwających się ulicami Pekinu. Ponadto przynosi nam moda dużo chińskich haftów, o linjach konwulsyjnych, pełnych niepokoju i tajemnic.

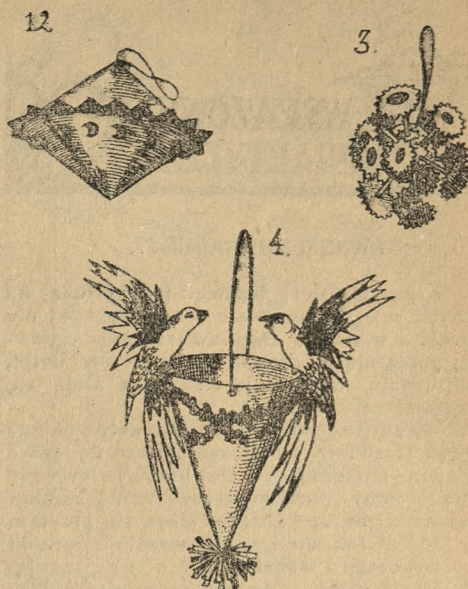
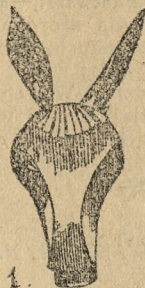
Również ze Wschodu, z krainy chryzantemów, przychodzą pierwsze proste bolera. Nawet i balowe toalety noszą egzotyczne piętno: olbrzymie węzły z lamy lub brokateli, nisko upięte z tyłu, maskują wyzywająco obcisnięte kształty i spadają w majestatycznych załamach ku ziemi...

I tak bez końca... cała fantasmagorja pomysłów genialnych koncepcji artystycznych. Nie wpaść w banalność, w to, co już było, co się widziało, unikać ekscentryczności, która nuży i przyjąć się nie może, z góry przewidywać, co by mogło trafić do przekonania większości kobiet — uchwycić jednym słowem orientację mody w kierunku nowej linji, która poprzez tysiączne wahanja, toruje sobie zwycięsko drogę.

Oto, Szanowne Panie, prawdziwe zadanie chwili. Sekwa.



CHOINKA



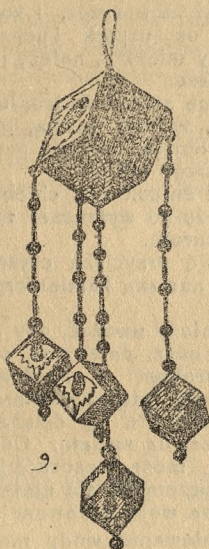
Są zwyczaje tak silne tradycją i tak głęboko zakorzenione, że niema zawieruchy dziejowej, niema gorczy i nędzy całych lat trwanych w męce, które byłyby zdolnymi wyrwać je życiu rodzinnemu i rzucić na pastwę zapomnienia. Najsilniejszym zwyczajem, który trwałość swą czerpie z uroku i pogody radosnej, jaka od niego bije, jest zwyczaj strojenia drzewka na dzień Wigilji Bożego Narodzenia.

Niema chyba tak biednego we wspomnieniu życia, którego nie opromieniałby uśmiech przeżyć tego jedynego wieczoru, niema oezu, które nie mogłyby przywołać obrazu, skapanego w świetle i niema duszy, co nie przeżyła beztroskiej, ślicznej chwili zapomnienia, jaką zwykł dawać wieczór wigilijny.

Drzewko w aureoli tysiąca błyskotek, lśniące srebrzystymi nitkami, rumianami jabłuszkami, słodkie i barwne od owoców marcepanowych, lukrowanych pierniczków i czekoladek, z tradycyjną gwiazdą na czubku, drzewko, ten świetlany punkt w życiu każdego dziecka, w ostatnich latach wyraźnie i stanowczo zmienia swój charakter. Do niedawna przeciążone szklanymi błyskotkami, przeważnie pochodzenia niemieckiego, wykończone długimi sznurami paciorków tegoż typu, było wprawdzie bogate, bajecznie kolorowe i świecące, ale nie miało tego wielkiego i niezastąpionego uroku swoistości, jakim tchnie dzisiaj prawie każda choinka w polskim domu.

Opleciona łańcuchami z kolorowych papierowych kółek, lub słomek, przedzielanych barwną bibułkową gwiazdką, ciągnie oczy tysiącem ślicznych cacek, wykonanych zgrabnymi dłońmi kobiecemi, które z kawałka waty, bibułki, ścinków papieru, pomagając sobie bądź pędzlem, bądź wycinanką stwarzają arcydzieła.

Wszelkie laleczki, krakowskie, łowickie, góralskie, motyle, owady, owoce, zwierzątka, witrażowe latarki, koszyczki, srebrzone i złoczone szyszki i orzechy, barwne ptaki, paraso-



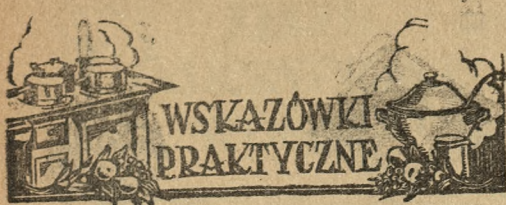
leczki, muchomory etc., zrobione domowymi siłami, stroją drzewko ślicznie. Koszyczki, napełnione drobnymi poziomeczkami, lub cukrowymi kulkami, nabierają nieodzownego dla dzieci uroku.



Dyskretnie rozmieszczone wśród cacek cukierki, trochę lśniących dużych paciorków, nawleczonych pojedynczo na nitkę, a po całym drzewku rozrzuconych, kokardki z bibułki w jednym kolorze, przypięte do gałązek, przy każdym lichtarzyku, cieniutko rozdzielana wata o pień drzewka owinięta, a po gałązkach drobnym puchem rozsiana, wreszcie całe drzewko pajęczyną złotych i srebrnych nitek spowite i zlekka kwasem bornym przypuszone, co w połączeniu z watą daje doskonałe złudzenie śniegu, oto skończone dzieło, które z niejednych rąk prawdziwym wychodzi arcydziełem.

Niefortunne próby zrażają niejednokrotnie do ubierania drzewka własnym przemysłem. Nie każdego stać na pomysłowość i umiejętność wykonania ozdób choinkowych. Aby dopomóc naszym Czytelnikom w tej wdzięcznej i miłej przedświątecznej pracy, podajemy zawczasu szereg modeli, których szczegółowo opisany sposób wykonania, wraz z rysunkami znajdują Panie na dołączonym arkuszu wzorów. A jeśli komuś czasu lub chęci zabraknie na wykonanie samemu tych zabawek, niechaj rozejrzy się po sklepach. Widzimy w niektórych w okresie świątecznym tysiące cacek ślicznych, gustownych i tchnących prawdziwą kulturą w pomysł i w wykonaniu; są one przeważnie dziełem rąk, które niedawno jeszcze nie znały pracy, a dziś żadnym nie gardzą trudem.

Cześć tym cichym, zbożnym pracownikom, które piękno do domów naszych wnoszą a dzieciom przed oczka młodociane, miast lichy tandety śliczne, o swojskim przeważnie typie, kładą cacka. Niech tegoroczna gwiazdka będzie hasłem do popierania wytwórczości własnej i podniętą do tworzenia coraz lepszych i piękniejszych rzeczy.



KWASZENIE KAPUSTY.

Kapustę należy trzymać jaknajdłużej na grzędach w ogrodzie, małe przymrozki jej nie szkodzą, a w czasie chłódów jesiennych główki jej porastają w drobne wewnętrzne listki, dzięki czemu twardnieją i kapusta staje się delikatniejsza.

Beczki czy kadzie do kapusty należy naprzedz starannie wymoczyć, potem wyparzyć w sposób następujący. Do kadzi nalewa się na stopę wody, poczem wrzuca w nią kamień wypalony w piecu, — gorąco, jakie się przytem rozwija, jest tak wielkie, że wszelkie zarazki chorobotwórcze i wszelkie bakterje powodujące zgniliznę zabija. Po wyparowaniu należy naczynie jeszcze raz wyszorować, wypłukać i dokładnie obejrzeć wewnątrz i zewnątrz. Wszelkie szpary i szczeliny należy zewnątrz zalać smołą, a wewnątrz załepić ciastem z żytniej maki.

Chyba nikt już dzisiaj nie szatkuje kapusty ręcznym sposobem, szatkownice, składające się z ramy z ułożonymi naniej napłask nożami z ruchomej skrzynki, do której się kapustę wkłada, nie tylko w miastach, lecz i w najgłębszych wsiach są znane.

Zewnętrzne, zielone liście należy starannie poodejmować, po ukwaszeniu byłyby szare i psułyby ładny wygląd kapusty, — nie zmarzną one, gdyż kto ma dużą czeladź do karmienia, robi z miększych i mniej białych główek, kapustę rąbaną, do której wszystkie kie zużywa. Taka kapusta rąbaną, w smaku się wcale od szatkowanej nie różni, a tylko kolor ma bardziej szary.

Na każdą 20 wiadrów kapusty, (wiadro ma w sobie 12 litrów), bierze się 12 funtów soli, oprócz tego półtora funta soli rozpuszcza się w sześciu litrach gotowanej, ostudzonej wody, — wodę tę się używa przy układaniu i ubijaniu kapusty, jak potem b dzie wskazane. Na dno kadzi sypie się garść soli, poczem kładzie się grube warstwy kapusty, i przespjuje się garstką soli i, kto lubi garstką kminu, każdą taką warstwę należy ubijać tłoczkiem drewnianym, aby się z kapusty wilgoć wydzielila, aby kapusta była soczysta, skrapia się ją jeszcze soloną wodą, o której wyżej wspominałam. Między rzędy sypie się też twarde, niepogniezione żórawiny, małe, twarde jabłuszka całe, plastry marchwi czerwonej, cukrowej — co kto woli lub wszystko razem.

Gdy się w taki sposób kadź napełni i ubije, wbija się do niej, aż do samego dna, dwa, trzy koły brzozone lub dębowe, którymi poruszając, robi się dziury w kapuście. Dziury te służą po to, aby przykry zapach, jaki jest w kapuście, przez nie wychodził. To wbijanie i wyjmowanie kotów przez dwa tygodnie codziennie powtarzać należy, poczem kapustę należy trzymać w miernie ciepłym miejscu, naprzykład w jakiej izbie miernie opalanej, kadzie powinny stać odkryte. Po dwóch tygodniach na kapustę przykrytą czystymi, lnianymi szmatami, nakłada się dobrze dopasowane denko, przyciska je kamieniami, — przyczem soku w kapuście powinno być tyle, żeby znajdował się ponad denkami na dłoń całą. Kapustę się wynosi do specjalnej warzywni, lub piwnicy, gdzieby mróz zimą nie dochodził

gdyż raz przemarznięta kapusta nie tylko smak traci, lecz się zupełnie psuje, gnieje i staje się niezdatną do użycia.

Kto lubi kapustę twardą i skrzypiącą, powinien ją stawiać na nowiu, kto woli kapustę miękką, niech ją stawia na ostatniej kwadrze.

Kapustę siekaną przyrządza się zupełnie w ten sam sposób, proporcje soli bierze się tą samą, żurawin, kminu, jabłek i marchwi do niej kłaść nie trzeba. Wszystkie miękkie główki, zdrowe liście, starannie opłukane i osuszone, sieka się siekaczami, — którymi sie kartofle i inny karm dla nierogacizny sieka, — w skrzyniach drewnianych, poczem się tę kapustę soli, ubija i dalej z nią postępuje, jak z szatkowaną kapustą. Wbijanie kotów i robienie dziur w niej dla usunięcia goryczy i zapachu, szczególnie jest w siekanej kapuście ważne, gdyż liście zielone mają dużo więcej od białych goryczy.

BURAKI KWASZONE NA ZIMĘ.

Barszcz buraczany, jako kwas naturalny, znacznie jest zdrowszy od octu, i może ten ostatni w wielu razach doskonale zastąpić, — do sosów i zup kwaśnych szczególnie może gorąco polecić.

Nie należy kwasić od razu wszystkich buraków, gdyż buraki ukwaszone jesienią, dobre są tylko do Nowego Roku, poczem smak tracą. To też najlepiej jest trzymać buraki w kepcach, w piwnicy, i co miesiąc, lub co sześć tygodni zakwaszać coraz nową beczulkę, — w taki sposób będzie się miało zawsze smaczne buraki na barszcz, i kwas buraczany (barszcz) na użytek kuchenny. Chcąc, aby buraki były miękkie, należy je stawiać na ostatniej kwadrze.

Oskrobane starannie i opłukane układa się je w kadzi, nalewa letnią, przegotowaną wodą, aby je objęła, wkłada parę kawałków żytniego, razowego chleba.

Po kilku dniach ten chleb się wyjmuję, — nie należy go wyrzucać, tylko skarmić kaczkom czy kurom.

Buraki się przyciska czystym denkiem drewnianym i naciska kamieniami, aby rosół był nad niem.

Pilnie należy uważać, aby pleśń się nie zaprowadziła, gdyż daje ona stęchły smak i zapach burakom i rosółowi. Wszelkie ślady i początki pleśni zbierać skrzętnie łyżką druzłakową, a ze ścianek i brzegów kadzi ocierać czystą szmatą. Gdy buraki już dobrze kwaśne, można zacząć brać barszcz na użytek, przyczem ile się uleje tego barszczu, tyle dolewa wody gotowanej, ostudzonej.

Takie dolewanie wody może trwać od sześciu tygodni do dwóch miesięcy, poczem należy zaprzestać, gdyż buraki już wymoczone ostatecznie smaku rosółowi udzielić nie mogą. Soli przy kwaszeniu buraków wcale się nie używa.

Pani Elżbieta.

ODPOWIEDZI

P. Zofja Szylderowa. pocztą Boby. Chcąc się podzielić doświadczeniem Sz. Pani z Czytelniczkami „Bluszczu,” powtarzam w odpowiedzi Pani cały Jej przepis pomidorów na salate. „Układa się warstwę pomidorów dojrzałych, jedrnych i warstwę naci z pietruszki, powtarza się to, aż do napełnienia naczynia. Zalewa się to wodą osoloną (1 funt soli na garniec wody), przyciska deneczką

i obciąża kamieniem, — przechowuje w chłodnem miejscu.” U mnie nigdy się to nie udawało, mimo to powtarzałam próby co roku przez lat kilkanaście. Kształt i kolor pozostawały śliczne, smak i aromat, — a więc to, co jest w pomidorach cennego, — ginęły zupełnie.

E. K.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 45

613. Suknia z brązowego crêpe marocain, przybrana haftem na złotej siatce.

614. Płaszcz z miękkiej wełny w kratę. Kołnierz i mankiety z sukna w jednym kolorze.

615. Płaszcz z peleryną z popielatej dytty, przybrany guzikami.

616. Codzienna suknia dla młodej osoby z granatowej gabardiny, przybrana guzikami rogowymi.

617. Suknia z wełny ciemno-zielonej, przybrana białym suknem i zielonym sutążem.

618. Suknia z woalu piaskowego, przybrana brązowym sukienkiem.

619. Palto z grubej, miękkiej wełny czarnej, przerabianej z sukna w jednym kolorze. Guziki bardzo duże, rogowe.

620. Kapelusze ze świecącego lila velouru, przybrany fioletową fantazją ze strusich piór.

621. Kostjum z ciemno-granatowego sukienka, przybrany haftem czarnym ze złotem.

622. Suknia z lekkiego granatowego sukna, przybrana pliskami z sukna koloru fox-trott i aplikacją granatową na szerokich plisach koloru fox-trott.

623. Suknia z ponsowej wełny, przybrana czarną aksamitką i pasmanteryjnymi guzikami.

624. Palto z czarnego sukna, obszyte taśmą.

625. Eleganckie palto z sukna koloru kreciego, przybrane plisą koloru elektrycznego. Naszywana gęsto sutążem koloru kreciego.

626. Paltocik aksamitny dla dziewczynki od lat 6 do 10, przybrany libretami.

627. Paltocik ze żrebaków dla dziewczynki od lat 4 do 8. Kołnierz i mufka ze skunków.

628. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 12 z granatowego szewiotu. Kołnierz i mankiety z ponsowego sukna.

629. Suknia z wełny w prążki koloru granatowego, przybrana suknem popielatym.

630. Wzór na firankę (kantonierę). Haft kolorowy na szarym lnianym batyscie. Ten sam motyw można powtórzyć szereg razy.

SPROSTOWANIE

W części IV artykułu „Miasta i Kobiety” w 2-im wierszu od dołu 3-ej kolumny winno być „młot” a nie „łomot”; w 7-y wierszu od góry 2-ej kolumny — „fala” a nie „lala”; w 10-y wierszu od dołu tejże kolumny po „kwadratowy” opuszczono „ziemi.”

W części V tegoż artykułu, w 17-y wierszu od dołu 2-ej kolumny winno być „popatruje” a nie „popatry”; w 27-y wierszu od góry 3-ej kolumny po „sprzęty” brakuje „zostały.”

Na str. 801 w 3-ej kolumnie, 7-my wiersz od dołu po „to” winno być „nie,” a w 4-y wierszu od dołu zamiast „a nie” — „nie rzadko.”

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU,” Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA,” Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115. OGŁOSZENIA L. i E. MENTZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA” Długa 9 i I. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA PÓLEK.”
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40.